Nr. 20. Warszawa, dnia 2 (14) Maja 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BURZA WŁOSKA.

W końcu kwietnia wybuchły w Ankonie i okolicy zaburzenia, wywołane drożyzną chleba. Głodne żołądki zawołały: Jeść!, a krzyk ten rozległ się piorunem po całym kraju, od północnych stoków Alp do zatoki Otranto, do cieśniny Mesyńskiej; dziwnym jakimś przypadkiem nie ogarnął Sycylii, gdzie niedola ludu jest endemiczną, a każdy podmuch wydobywa płomienie. Lud miejski, z pomocą wiejskiego, w mniejszych miejscowościach rzucał się na domy gminne i przybytki władz państwowych, palił i burzył, napadał na burmistrzów i piekarzów, na żandarmów i policyę; w większych przeciągał ulicami, wrzeszczał, wymyślał, wygrażał się pod oknami urzędników, szczelnie pozamykanemi, nie ustępował na wezwanie; pozwalał nawet rąbać się, siec i kulami przeszywać. W jednem z miasteczek w środku kraju, rozjątrzony prawdopodobnie wyzywającym jakimś morałem, tłum wrzucił w płomienie samego syndyka. Ruch dotarł aż pod Rzym, wtargnął i do Rzymu. W Genzano, na południe od Albano, nie znać było tak bliskiego sąsiedztwa wielkiego miasta i wielkich w niem sił zbrojnych: władza znikła, rządy schwyciła anarchia.

Najsilniejszemi te drgnienia społeczne, patologiczne, były nadto jeszcze w pierwszem ognisku swojem, Ankonie, w Sesto Xiorentio, w Stradelli, dalej w Neapolu i Bari, na południu, w Medyolanie i Pavii na północy. Wołano wszędzie: „Precz z cłami,“ „Taniego chleba“—z powodu ceł bowiem chleb tanim być nie może, a na drogi ludu włoskiego nie stać. Rząd po jakich dziesięciu dniach ruchu wyjął sobie bawełnę nieomylności z uszu i cła zbożowe, zniżone już, zdaje się na początku tego roku, zupełnie zniósł, tj. pobieranie ich aż do dalszego rozporządzenia wstrzymał, a nie poprzestając na tem, nawet i *maximum* ceny wyznaczył. Według obliczeń *Popolo Romano*, aż do jesieni uszczuplenie dochodów skarbu dojdzie do 6 mil. lir; tak znaczną jest ilość zboża obcego we Włoszech. Zdawało się: iż ta skwapliwość rządu burzę zażegna, ale burza teraz dopiero naprawdę zahuczeć miała, obrawszy sobie siedlisko w pięknej Lombardyi, w jej sercu, Medyolanie. Tu socyaliści, którzy nie mogli z wołania o chleb nie skorzystać, trzymając się taktyki jawnego uspakajania, rzeczywiście podburzali, aż urobili lud do rewolucyi, przygotowanej oddawna przez republikanów, jak domniemywa się z wielkiem prawdopodobieństwem, tkwiącem w samych formach wypadków, miejscowy *Corriere della Sera*.

Już nie jakiś chochlik, ale sam Lucyper dziejowy zrobił sobie z nieszczęścia Włoch niezwykłą uciechę: kiedy w Turynie król Humbert obchodził wraz z otoczeniem urzędowem, dworskiem i niezbędnem ludowem pamiątkę konstytucyi sardyńskiej z dnia 4-go marca 1848 r., daru Karola Alberta, prawie tego samego dnia w Medyolanie z ruchów o chleb wylęgła się już wręcz rewolucya. Początek jej przypada na 6 maja; nazajutrz barykady pozagradzały ulice, za barykadami w domach, w piwnicach, w sieniach i na poddaszach usadowili się zbrojni; jeden, drugi karabin błysnął w rękach powstańczych; z karabina wypadł strzał. Jednym nie wystarczały już kamienie i drągi, drugim szarże i strzały dla postrachu: wszczęły się boje zacięte, okrutne, jak we wszelkich wojnach domowych. Kobiety, dzieci, księża uczestniczyli w walce z okien domów; wojsko do burzenia republikańskich wałów musiało zataczać działa; zmiatało barykady, zmiatało i całe setki walczących. Sztuka wojskowa zrobiła pierwsze w żywych ciałach doświadczenie dla wypróbowania dzielności ulepszonych przez siebie najnowszych karabinów. Kule ich rozszarpują, jak pociski wybuchowe: z pełnej rany — pełna też, doskonała śmierć na miejscu; a kto chwilę ciosu przeżyje, temu męczarnia życia ze straszliwą raną wyrwie modlitwę o śmierć. Nowy karabin włoski tryumfuje i nad starym poprzednikiem swoim—i nad ludem włoskim.

Ruch w Medyolanie trwał jeszcze w poniedziałek; wtorek, 10 b. m., „przeszedł spokojnie.“ Republikanie rzucić się chcieli i na poblizką rezydencyę królewską Monzę; ale ją zawczasu wysłane wojsko obroniło. Rewolucya drgnęła i w Neapolu; w dniach 8 i 9 b. m. były tam także barykady i boje, było i zwycięztwo wojska— a, znamię charakterystyczne: lud z wsi okolicznych biegł na pomoc ludowi w mieście. Liczba ofiar w Medyolanie ogromna: ze strony ludu dwa tysiące; wojsko osłaniała od śmierci wyższość broni, błyskawiczność skutków po strzałach. Do poległych i ranionych przybywają uwięzieni; do czynu karabinów i dział dorzuci i swój sprawiedliwość. Ruch skończy się na tych pierwszych porywach. Monarchia zostanie, ale z wypadków powinna wziąć dla siebie naukę: zdemokratyzować urządzenia społeczne, a przedewszystkiem obrzydły we Włoszech system podatkowy. Lud, który kilka lat temu jeszcze płacił krwawicą swoją za zmielenie każdej ćwiartеczki zboża, który dziś jeszcze płacić musi wysokie akcyzy gminne — lud ten chyba nie jest dziką tłuszczą, gdy woła o chleb; lud ten ma chyba prawo do tego, aby przycinano podatki do niego, a nie jego do podatków. Prawdziwem nieszczęściem Włoch jest ich wielkomo-

carstwowość, utrudniająca wszelkie reformy podatkowe.

FILIPINY.

Filipiny obejmują więcej, niż tysiąc wysp większych i małych. Najznaczniejszemi są Luzon (ze stolicą Manilą), Mindanao, Palawan, Cebu i Mindaro; wszystkie razem zajmują 293,726 kilometrów kwadratowych. Ludność tubylcza liczy siedem milionów, a milion niepodbitej. Przeważnie pochodzenia malajskiego, rządzoną jest przez kilka tysięcy hiszpanów. Trzeba doliczyć 5,000 kreolów, 25,000 metysów i 65,000 Chińczyków.

Ziemia wszędzie odznacza się niezwykłą urodzajnością. Lasy są prześliczne. Mimo to krainy te znajdują się w upadku. Olbrzymie podatki obarczają ludność, opłaty celne wynoszą 50% wartości. Rząd hiszpański nic nie czyni dla podniesienia dobrobytu. Z portów jeden tylko jest dostatecznie oczyszczony, manilski, a i tu widzisz statki tylko obce. Handel jest w ręku domów angielskich, amerykańskich i niemieckich. Kolei żelaznych posiadają Filipiny ledwie 192 kilometry na Luzonie.

Dołącza się do tego jeszcze specyalność czysto hiszpańska: oprócz podatków państwowych istnieją ogromne podatki i dziesięciny kościelne. Państwo wybiera stąd 63 miliony, kościół — 113 milionów franków. Rządy spoczywają nominalnie w ręku gubernatora, rzeczywiście zaś w ręku arcybiskupa, czterech biskupów i przeorów niezliczonych klasztorów. Charakterystycznym jest inny szczegół: księża, rozrzuceni po parafiach (przeważnie pochodzenia tubylczego), cierpią niemal nędzę. Stąd ogromny antagonizm między nimi a mnichami i liczny ich udział w ruchach przeciwrządowych.

W zamian za to wszystko Filipiny nie otrzymują nic nawet pod względem politycznym. Tu niema rad miejskich, wyspiarze nie posiadają żadnego przedstawiciela w parlamencie, ani w senacie. Czyli gorzej jeszcze, niż na Kubie.

To też podobnie jak na perle Antyl wybuchają i na tych pięknych wyspach od kilkudziesięciu lat stałe bunty. W r. 1837 rozpalił tu ksiądz Apolinary de la Cruz ogromne powstanie, które trwało przez cztery lata i skończyło się rozstrzelaniem 2,000 uczestników. W r. 1872 znowu trzej księża tubylcy, kierowani nienawiścią ku zakonom, wznieciii groźny rokosz. Od tego czasu psuło się wciąż coś w tem królestwie. Okrutnem swojem postępowaniem zrazili sobie wreszcie Hiszpanie i metysów, w nich też urósł im najgroźniejszy przeciwnik. Ludzie owi częścią malajowie, częścią biali, odznaczają się prawdziwą inteligencyą i przewyższają umysłowo swoich ciemięzców. Póki było można, wydawali w Madrycie z natury rzeczy umiarkowane pismo opozycyjne *La Solidaridad*, potem przenieśli kuźnię swych grotów do Japonii i w piśmie *El Koalayan*, wydawanem po tagalsku, bronili swej sprawy.

Równocześnie w latach 1893—6 uknuli potężny spisek. (Nazwali go Katipunon—sejm). Powstanie kubańskie sprzyjało jego rozgałęzieniu. Wyznaczyli już porę wybuchu, gdy kobieta, u której zbierali się główni przywódcy luzońscy, wydała tajemnicę na spowiedzi. Wróciwszy do domu, wyznała swą winę zgromadzonym; zapobiegło to ich wyłapaniu i przyspieszyło wybuch.

W sierpniu więc 1896 r. część Filipińczyków uderzyła na Hiszpanów i źle uzbrojona, nieurządzona odpowiednio, mogła łatwo uledz. Opieszałość hiszpańska uratowała ich; w kilka miesięcy później powstańcy mieli 30 tysięcy strzelb, nabytych w Chinach i Japonii.

Walka, datująca się od tej chwili, nosi cechy niezwykłego roznamiętnienia z obu stron. Barbarzyństwo Hiszpanów wybuchło w formie żywiołowej, metysi mścili się również okropnie. Szczególnie gdy Blanco, walczący honorowo, został odwołany na żądanie mnichów, na Filipinach zaczęły dziać się rzeczy, od których krew się ścinała. Rozstrzeliwano w Manili setki podejrzanych — wziętych do niewoli z bronią w ręku zabijano na miejscu, w początkach r. 1897 odbyła się egzekucya tysiąca tubylców, a jak pisały *North China News*, podczas niej grano hymny narodowe, z trybuny zaś patrzyło trzydzieści siedem dam hiszpańskich. Tych, z których chciano wydobyć zeznania, brano na tortury, palono im stopy i wyrywano oczy, potem kilkudziesięciu wrzucano do kaźni, dobrej dla trzech osób i tu dosłownie leżący warstwami na sobie pod sufit dusili się w przeciągu kilku godzin.

Nie chcę rozwodzić się nad szczegółami. Mimo zwierzęcości, mimo wysłania więcej niż 60,000 wojska na zbuntowane wyspy, Hiszpanie nie ukrócili powstania. Warunki walki są dla nich tam jeszcze trudniejsze, niż na Kubie. Żołnierz europejski może tam maszerować tylko do dziewiątej rano, później panuje zabijający upał. Jeśli zechce poszukać wówczas cienia, nabawia się gorączki bagiennej, zabijającej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Tubylczy zaś szeregowiec przechodzi na stronę powstańców.

Mimo to w początkach roku bieżącego Hiszpania rozgłosiła, iż rokosz filipiński stłumiony.. Był to manewr, aby odwrócić odeń uwagę Europy. Jakoż nie minęło kilka tygodni, a już angielskie pisma, szczególniej dobrze w tym względzie poinformowany *Daily Mail*, począł podawać nowe wiadomości o ruchu Filipin. Siódmego marca powstańcy luzońscy poprzecinali linie telegraficzne między Bolinao a Manilą, a w potyczce tego dnia legło 57 Hiszpanów. W dwadzieścia dni później „osiemdziesięciu zbuntowanych próbowało w samej Manili wykonać śmiały zamach.“ Dziesiątego kwietnia już hiszpański dziennik *Heraldo* doniósł o zajęciu stolicy wyspy Cebu przez tubylców. Nazajutrz *Daily Mail* zapowiadał oblężenie Manili przez dziesięciotysięczne wojsko powstańcze.

Ameryka bacznie śledziła te wypadki. Przed wybuchem wojny jeszcze Hiszpanie żądali, aby Stany Zjednoczone wycofały swą flotę z wód filipińskich.

B.

Tydzień polityczny. Ku wielkiemu zmartwieniu dziennikarzy Manilla jeszcze nie upadła; niektórzy wszakże opisywali już wdzięczne powiewy chorągwi hiszpańskiej nad gruzami. Admirał Devey, który miał za mało węgli, już braku ich nie czuje, ale nie dostał jeszcze żołnierza, a ma znowu za wiele rozsądku, aby bez niego ważyć się na zdobywanie. Stoi, jak stał d. 2 maja, i tylko Cavite zajął, tj. stanowisko w niem dla siebie obrał i obsadził. Walka Hiszpanów z powstańcami filipińskimi może przyspieszyć napad, gdy powstanie stolicę obsaczy. Buletyny donoszą o pobiciu krajowców na wyspie Panay, ale z Luzonu przynoszą ich powodzenie: już pod samą Manilą mordują kobiety i dzieci hiszpańskie. W stolicy i zapewne na całym archipelagu, władza hiszpańska bez karabinów i dział omdlewa. Są może nawet jakieś hiszpańskie, kreolskie porywy przeciwko rządowi. Ciemnem jest doniesienie

52)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Żebractwo, jako profesya, mało daje na ubogim Sachalinie. Prosić o jałmużnę w języku katorgi nazywa się *strzelać*. Wyraz ten, groźnie brzmiący, a tak niewinny w mowie skazańców, który wprawiał mię w zdumienie, gdym po raz pierwszy usłyszał — wyraz ten odegrał wielką rolę w życiu skazanego do ciężkich robót Maryana Piszczakowskiego. Herkules, poczciwy zawsze, lecz tylko straszny podczas napadów epileptycznych, zbliżył się do naczelnika, zwiedzającego więzienie i przemówił:

— Chcę jaśnie wielmożnego pana podstrzelić...

— Wziąć go! W kajdany! — krzyknął urzędnik, odskoczywszy na bok.

Piszczakowski musiał kilka miesięcy dźwigać kajdany, zupełnie nie rozumiejąc za co. Połowę życia spędził w ciężkich robotach, więc zapomniał o tem, że nie cały świat mówi językiem katorgi! Od tego czasu za każdym razem, gdy ów przestraszony naczelnik odwiedzał więzienie, Piszczakowskiego wyprowadzano i okuwano w kajdany.

Opowiadając mi swoją niedolę, skarżył się nieborak:

— Nigdy w życiu swojem nawet muchy nie zabiłem (należy do kategoryi dyscyplinarnych), a jak cierpię! Jak najgorszy zbrodniarz! Za co? Za to, żem na herbatę i cukier chciał podstrzelić. Ucieszyłem się, myślę sobie, dobra władzo, da dziesięć kopiejek. Ot i uciecha!

Na określenie „prosić“ katorga ma jeszcze inny wyraz, historyczny, pochodzący z Syberyi: *strzelać do sawatejki*. Sawatejkami na Syberyi nazywają bardzo smaczne nadziewane pierożki, smażone w śmietanie. Dostatni włościanin syberyjski uważa za obowiązek sumienia, uczynek dobry „dla duszy,“ potraktować włóczęgę - warnaka sawatejkami. Stąd „strzelać do sawatejek,“ znaczy w języku katorgi iść na włóczęgę. Ale niestety! w sachalińskich ciężkich robotach wyrażenie to stało się już zupełnie historycznem. Na wyspie ubogiej nietylko o sawatejki, ale nawet o chleb trudno. Osadnik sachaliński, to nie włościanin syberyjski: głodny nakarmić nie może. Na Syberyi włościanin posila włóczęgę, a za to ten nic mu nie tknie. Zgłodniały zaś włóczęga sachaliński zarzyna osadnikowi i krowę, i konia ostatniego. Więc osadnicy chwytają włóczęgów, a czasem nawet zabijają.

— Tutaj Sakalin; każdy musi myśleć o sobie! — mówią na tej wyspie, gdzie człowiek dla człowieka pomimowoli jest wilkiem.

Przejdźmy teraz do wyrażeń, oznaczających karę. We wszystkich brzmi ironia i przypomina mi ten uśmiech, wykrzywiający twarz, z którym człowiek idzie „na kobyłę.“

— A więc wymaga tego porządek.

Katorga nie lubi słowa „wieszać.“

Nosi to nazwę: *zasłużyć na powróz*. Ta jakaś instynktowna obawa strasznego wyrazu dochodzi do tego, że nawet oprawca, opowiadając o powieszeniu własną ręką trzynastu ludzi, stara się unikać określenia dosłownego; jeżeli zaś musi wymówić ten wyraz, to się poprostu krztusi,

o zamordowaniu admirała Montejo (Montojo) i dwu jego synów. Stany Zjednoczone myślą o zajęciu wysp w zastaw, a może i na wieczne nieoddanie, coby zmąciło równowagę sił, przyjętą dla wód chińskich przez trzy mocarstwa tam działające. Dzienniki mówią już o porozumieniu się Unii z Japonią i Anglią.

Słynna flota hiszpańska z pod — przyłączonych przez niektóre dzienniki warszawskie do Hiszpanii — wysp Zielonego Przylądka, zamiast płynąć do Ameryki, popłynęła do Kadyxu. Stamtąd dopiero ma wyruszyć na wroga, który od ostatnich wiadomości próbował w kilku punktach wylądowania na Kubie, strzelał do bateryj, ponawiał bombardowanie Matanzasu, przygotował wyprawę w siedmiu oddziałach z 15,000 wojska i 50,000 ochotników — i udaje raczej, niż zamierza, napad na Portorico.

W Hiszpanii przesilenie gabinetowe, rządowe i dynastyczne. Sagasta prawdopodobnie runie. Rządy Camposa i Weylera ocalą dynastyę, a zrujnują naród; uświetnią oręż, a uszczuplą terytoryum państwowe. W kraju zaburzenia o chleb, jak we Włoszech. Stan oblężenia szerzy się z prowincyi do prowincyi.

D. 8 b. m. odbyły się we Francyi wybory do Izby: zmiany niema.

D. 9 zebrały się w Peszcie delegacye obu połów monarchii habsburskiej. 30 milionów żąda cesarz na nadzwyczajne uzbrojenia. D. 11 b. m. przemówił do delegatów: o przymierzu nie wspomniał; stwierdził za to „wyborne stosunki z wszystkiemi państwami, zwłaszcza z sąsiedniemi.“ D. 13 b. m. przemawiać miał p. Gołuchowski.

D. 5 b. m. ces. Wilhelm zamknął sejm niemiecki. Wybory do nowego sejmu w środku czerwca.

Goniec urzędowy z d. 11 b. m. przyniósł ważne oświadczenia o Korei i stosunkach z Japonią.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O ZAPOMNIANYCH.

Tak się ułożyły warunki życiowe, że ci, którzy z pożytkiem i wysiłkiem pracują nad ich udoskonaleniem, sami gryzą najtwardsze owoce, idą bezimienni, w szeregach, cyframi tylko oznaczonych, ukryci w cieniu zapomnienia społecznego. Do takich należy w naszym kraju spora gromadka pracowników, zajmujących skromne i niewdzięczne, lecz niezmiernie ważne placówki, a oznaczonych cyfrą *2,570*. Tylu nauczycieli wiejskich liczy Królestwo Polskie. Zadaniem ich jest stąpać po nizinach warstw społecznych, rozpraszać tam mgły. Chodząc po owych nizinach i prowadząc uciążliwą walkę z mgłą i mrokiem, sami nie mogą się wznieść nad poziom warunków nizin.

W sprawie tej rzeszy przemówił *Rozwój* łódzki i zarazem dał głos jednemu z pracowników na niwie oświaty ludowej, który w długim liście kreśli smutną dolę swych towarzyszów. Warunki ich bytu są bardzo różnorodne, ale na ogół niesłychanie nędzne. Wysokość pensyi waha się od 50 do 400 rs. rocznie; większość atoli wynosi od 120 do 220. Prócz tego nauczyciele mają mieszkanie i ziemię przy szkole. Tutaj także warunki są różne. „Są szkoły mające po 20 morgów ziemi, a są i takie, które oprócz placu pod zabudowaniami nie mają ani jednego pręta.“ Większość jednak posiada kawałek gruntu; ale dochód z niego zależy od gatunku i uprawy. Niektórzy przy niewielkim nakładzie pracy i kapitału mają po 200 rs.; ale większość, pomimo wysiłków i kosztów, otrzymuje zaledwie 10—12 rs.

Praca nauczycieli elementarnych wogóle, wszystkich zaś szczególnie — jest bardzo mozolną. Każdy musi poświęcić szkole 6 godzin dziennie — od 8 do 12 i od 2 do 4-ej. Ale ponieważ dzieci z dalszych wsi na obiad nie chodzą, lecz zostają w klasie, więc nauczyciel musi pamiętać o nich i dać im zajęcie. Po za tem musi przeglądać roboty piśmienne. Ogółem tedy pracuje 8—1- godzin, z wielkiem natężeniem. Po za szkołą, jeżeli jest ziemia, musi się zajmować rolnictwem i ogrodnictwem, a jeżeli ma czas, chęci i zdrowie pozwalają — pszczelnictwem, hodowlą jedwabników, kwiatów lub jakiem rzemiosłem. O czynnościach swoich szkolnych i pozaszkolnych musi przesyłać raporty i sprawozdania naczelnikowi i dyrekcyi naukowej.

Mieszkanie składa się zwykle z dwu izb, z których jedna stanowi kuchnię, druga pokój dla nauczyciela i jego rodziny. Bywają wszakże złożone tylko z jednej izby, bez podłogi i pieców, z dziurawemi ścianami i pułapem. „Miewałem mieszkania—skarży się pewien nauczyciel—z których w noce pogodne gwiazdy obserwowałem, a w zimie złośliwy zefirek wpędzał mi kupki śniegu do izby; gdy zaś niebo było pochmurne i płaczliwe, siedziałem w mieszkaniu z otwartym parasolem nad głową.“

Oto skargi w dalszym ciągu, wymownie charakteryzujące warunki bytu tych przeciążonych i znękanych pracowników: „...Gdy wskutek osłabienia wzroku, słuchu lub głosu stanie się do dalszej pracy mniej zdolnym, usuwają go z miejsca bez ceremonii.“ Nauczyciele wiejscy są to przeważnie ludzie młodzi, nawet bezżenni. „Spytajmy, kto przed nimi zajmował te posady i gdzie ich poprzednicy znajdują się obecnie? A dowiemy się, że poprzednicy ich, starzy nauczyciele, opuścili służbę i obecnie jeden jest stróżem w Warszawie, drugi robotnikiem w Łodzi, inny pisarzem gminnym, niektórzy włóczą się od wsi do wsi, od miasta do miasta, żyjąc z miłosierdzia ludzkiego, a jeszcze inni z biedy i głodu pomarli.“ Należą oni przecież do stowarzyszenia emerytalnego! Tak; ale „żeby otrzymać emeryturę, trzeba ją wysłużyć i mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat wieku. Przytem najwyższa emerytura nauczyciela wiejskiego po 35 latach służby wynosi zaledwie 120 rubli rocznie. Ilu ich z ogólnej liczby 2,570 otrzymuje emeryturę? — pyta jeden z tej rzeszy — bo przyznam się, że widziałem tysiące(?) nauczycieli, ale emerytury wiejskiego nauczyciela nie widziałem.“ Wysługują emeryturę, ale *tylko* miejscy.

Najruchliwsi i najzdolniejsi wiejscy otrzymują miejsca stosowne w szkołach miejskich, „jako szczególne nagrody i odznaczenia; ale dostawszy się do miasta, wytężają wszystkie siły, ażeby się utrzymać. Skutkiem warunków pracy, rujnu-

---

jakby zawstydzony. Również skazańcy nie lubią wyrazu „rózgi“ i wolą natomiast ironiczną nazwę *łozy*. Jeżeli zaś chłosta się odbywa grubszym końcem, natenczas rózgi zowią się *komle*. Batogi nazywają *mantami* — słowo, wymawiane zawsze ironicznie. Wogóle wymierzanie chłosty nazywa się *otrzymać nagrodę*. Chłosta w rozmiarach kary wyższej — otrzymać *połniak* (tj. nagrodę całkowitą). „Karcer“ posiada dwie nazwy: *pszczelnik* i *suszyłka* (suszarnia); ostatnia nazwa bywa używana częściej i jest ironiczniejszą.

— Gdzież tamten? Od trzech dni już go nie widzę?

— Suszy się!

To znaczy siedzi w ciemnej celi.

Ażeby uniknąć tych wszystkich opałów, od „mantów“ i „łóz“ do „suszarni,“ katorżnik musi być albo szczególnie *fartowym*, albo umieć *feldzić*.

Ktoś popełnił 20 przestępstw i dał się złapać tylko na 21-em; ktoś inny odrazu na pierwszem był pojmany i to tak, że poszedł do robót ciężkich na całe życie.

Jeszcze inny ma na sumieniu kilkanaście ofiar ludzkich, a dostał się na katorgę jako włóczęga tylko na półtora roku za „ukrywanie pochodzenia“; odbędzie karę i pójdzie sobie. Ktoś znowu — katorga wie o tem — cierpi za winy niepopełnione i będzie cierpiał bardzo długo. Ktoś wobec wszystkich umknął i dostał się do Rosyi, a inny nawet o wiorstę nie oddalił się od więzienia, pojmano go, „dano nagrodę“ i zamknięto „z przedłużeniem terminu.“ Wszystko to wytworzyło wiarę w ślepy wypadek. Tylko traf i nic więcej! Nawet sąd, według charakterystycznego pojęcia skazańców — „to karty.“ Wiara w ślepy traf, los, fortunę — to rzeczywista religia katorgi. Od wyrazu „fortuna“ pochodzi *fart*. Właściwie oznacza to „szczęście“; ale, o Boże! co się nazywa na Sachalinie szczęściem! „Fart“ i „fartowy“ ma różne znaczenie.

— On jest człowiekiem „fartowym“ — mówią o skazańcu, gdy chcą określić jego dobroć, gotowość niesienia pomocy bliźniemu bezinteresownie.

— To jest *fartowiec*! Człowiek fortunny! — mówią z zawiścią o skazańcu, któremu bezkarnie uchodzi wszelka podłość.

Gdy zaś osiedleniec mówi o towarzyszce, albo katorżnik o żonie, przybyłej dobrowolnie: „ona poszła na fart!“ — zbyteczna wyjaśniać, co to znaczy.

Feldzić. — znaczy „oszukiwać.“ Władzę można wziąć *na feldę*. *Felda* — znaczy oszukaństwo, podstęp, fortel wobec władzy. Mówią, że słowo „felda“ jest specyalnie sachalińskie i zrodziło się wtedy, gdy gospodarzem więzienia Wojewódzkiego był niejaki Feldman, o którym już wspominałem. Wtedy tylko przebiegłość i podstęp mogły wybawić skazańca od mant i łóz. Feldmann przyjął za zasadę bicie wszystkich aresztantów. Musieli więc „feldzić“ przed nim, jak on karmiąc więźniów chlebem surowym i robiąc oszczędności na sztucznej wadze pieczywa, „feldził“ wobec swojej władzy. Wyjaśnienie historyczne jest dość ciekawe.

Służalczość i szpiegowstwo — to dwa najbardziej wypróbowane sposoby „feldy.“ Mają one osobną nazwę: *bić ogonem*. To znaczy, że aresztant zręcznie się uchyla od najcięższych robót. Ale ponieważ do tego służą na katordze tylko dwa środki: służalczość i szpiegowstwo, więc skazańcy mówią o płaszczących się przed władzą:

— Patrz, jak ryba na piasku, bije ogonem.

Wyrażenie „bić ogonem,“ świadczy, jak skazańcy patrzą na donosiciela. Nazywają go *wyżłem* lub *suką*. On bije ogonem

jących zdrowie, emerytury nawet w miastach dosługują się tylko jednostki.“

Warunki społeczne, kulturalne i administracyjne nauczyciela wiejskiego tak są znamienne, że chcąc je scharakteryzować, trzeba się powołać na własne słowa tego człowieka, który śród nich się obracał:

„Pisarz gminny jest tak ważną figurą w gminie, że bez niego nic się nie robi. Będąc nauczycielem we wsi K., miałem przy szkole 15 morgów ziemi. Pracowałem, gospodarowałem i szło mi wszystko nieźle. Naczelnik dyrekcyi i proboszcz byli ze mnie zadowoleni, sąsiedzi mnie lubili, obywatel pan W. krytykował łaskawie moje gospodarstwo, udzielał mi rad dobrych, często i pomocy, z wójtem żyliśmy w zgodzie, jednemu tylko pisarzowi gminnemu nie miałem szczęścia do gustu przypaść, chociaż ze swojej strony unikałem wszystkiego, co mogłoby go drażnić; zresztą zajęty szkołą i gospodarstwem, mieszkając na innej wsi, nie zwracałem na niego uwagi. W polu, należącem do szkoły, stały cztery krzaki olszyny. Przeszkadzały one w uprawie roli i głuszyły zasiewy. Pewnego dnia wziąłem się do roboty i wykopałem wszystkie z korzeniami. Tak się zdarzyło, że wkrótce potem byłem w jakimś interesie w kancelaryi dyrekcyi naukowej. Jeden ze znajomych mi urzędników przywołał mnie do swego stołu i podał do przeczytania papier. Było to urzędowe doniesienie wójta, że zabrałem samowolnie duże cztery drzewa olszowe, na szkolnej ziemi rosnące, wartości 20 rubli — z prośbą, ażeby naczelnik dyrekcyi naukowej polecił wójtowi pieniądze te ode mnie ściągnąć. Przedstawiłem sprawę w świetle rzeczywistem i prosiłem, ażeby ją przesłać do miejscowego sądu gminnego, który wezwawszy i wybadawszy świadków, sprawę należycie rozstrzygnie. Zwrócono więc ów papier wójtowi z rezolucyą w myśli wskazanej przezemnie, a pisarz, widząc, że sprawa taki obrót wzięła, do sądu wcale jej nie odesłał. W tejże wsi założyłem przy szkole ogród, sprowadziwszy z ogrodu Pomologicznego w Warszawie 24 drzewka, a ze sto drzewek i krzewów albo sam wyhodowałem, lub jako dziczki przyniosłem z lasu. W jednym kącie założonego ogrodu stała stara napół uschła topola. Jako zawadzającą mi w ogrodzie wykopałem ją, zabrałem do siebie i porąbałem. Wtedy już pan pisarz posłał skargę na mnie wprost do sądu. Lecz sąd po zbadaniu świadków, nietylko mię od odpowiedzialności uwolnił, ale jeszcze pochwalił za dobre gospodarowanie. Tego już pisarzowi było zanadto. Co robił i jak robił, tego nie wiem; wiem tylko, że po niejakim czasie z K. zostałem przeniesiony do G., czyli, że po 18 latach służby, nie zrobiwszy nic złego, z 240 rubli pensyi z 15 morgami ziemi, awansowałem na 105 rubli z dwiema morgami ziemi. Nauczyciel wiejski musi postępować bardzo oględnie, żeby czasem nie obrazić powagi pisarza gminnego.“

Nie na tem wszakże koniec. Nauczyciela wiejskiego wszyscy dręczą i szykanują, a najbardziej ciemni lub interesowni, wrogowie oświaty, gwoli ślepocie umysłowej lub żądni połowu w mętnej wodzie. To też nauczyciel jest żebrakiem, ofiarą poniewierki i niewolnikiem: Od ciemnych włościan i dygnitarzy wioskowych znosi utyskiwanie, że niepotrzebnie obarczani są wydatkami szkolnymi, a pensyę swoją — egzekwować musi od wójtów w sposób bardzo natarczywy. Pozbawiony on jest tych przywilejów i skromnych praw, z jakich korzysta najdrobniejszy, najmizerniejszy urzędnik. Nawet nie może mieć urlopu na jedną dobę bez opłaty marek stemplowych.

Podobno według zapewnień dziennikarskich, niezadługo ma być wprowadzona pewna zmiana co do wysokości pensyi nauczycielskich, tj. we wszystkich szkołach gminnych mają oni otrzymywać po 250, a w wiejskich po 200 rs. rocznie. Nie jest to podwyżka taka, któraby mogła stworzyć zasadniczą zmianę w warunkach materyalnych tych pracowników, a nawet przynieść im widoczne ulgi. W każdym jednak razie jest przynajmniej jakieś usiłowanie w zakresie polepszenia ich doli. Uzbrojeni w szkła mocno zaróżowione, możemy mieć nadzieję, że wogóle w tych smutnych stosunkach będą poczynione zmiany na lepsze, a przynajmniej rozwinięte zabiegi odpowiednie. Dużo się mówiło i mówi o potrzebie podniesienia uzdolnień nauczycieli wiejskich. Ale skutkiem traktowania tej potrzeby powierzchownie, nikt nie zastanowił się nad tem, że w podniesieniu uzdolnień niesłychanie ważną rolę grać musi poprawienie warunków bytu oraz stosunków administracyjnych, społecznych i kulturalnych. Przeglądając różne budżety, widzimy haniebnie skromną pozycyę wydatków na nauczycieli wiejskich i szkoły. Przedewszystkiem więc trzeba zmazać to smutne piętno „postępu“ dzisiejszego — a wtedy łatwo się podniesie poziom uzdolnień nauczycieli wiejskich. Muszą oni mieć dobre uposażenie i zabezpieczoną emeryturę, po wysłużeniu znacznie mniejszej liczby lat niż obecnie, ze względu na zajęcie nużące i rujnujące zdrowie. Tylko w takim razie wzmocni się produkcyjność ich pracy.

Z NIEMIEC.

Berlin, 7 maja.

Dalsze zamachy junkrów na swobody ludu. — Przykucie do ziemi. — Rozpusta panów. — Między dwoma ogniami. — Nowi zbawcy.

Puszka Pandory, z której reakcya czerpie swe pomysły, jest stosunkowo niewielkich rozmiarów. Nic więc dziwnego, że przeciwnicy postępu obracają się w błędnem kole jednostajnych skarg Hiobowych i projektów wsteczniczych. Ubodzy duchem, wyczerpawszy środki zaradcze, wydobywają z lamusa przeszłości rupiecie, pogrzebane pod gruzami przewrotów historycznych i nie licząc się ani z duchem czasu, ani z uczuciami i potrzebami mas, przebąkują nawet o przywróceniu pańszczyzny. Tutej-

---

przed władzą, a ta traktuje go jak psa. Donieść władzy nazywa się w języku katorżnym *wierzgnąć*, albo *zawieźć taczkę*. Oskarżyć przed władzą człowieka tak, iżby nie mógł wybrnąć, nazywa się — *zasypać*.

Za to katorga wymierza jedną tylko karę, którą nazywa z właściwym sobie humorem: *nalać jak bogatemu*, tj. mocno pobić, bić, co się zmieści. Żeby zaś winny nie wiedział, kto go bije, trzeba *nakryć ciemną*, tj. okręcić mu głowę kapotą.

— Podwójna korzyść — mówią skazańcy — głowy w gniewie ludzie mu nie uszkodzą; zostanie przy życiu i — „naleją mu, jak bogatemu“; krzyczeć nie będzie!

Jak wszyscy ludzie zgnębieni, stargani cierpieniem, gniewni, z nerwami chorymi — katorżnicy lubią gniewać i dręczyć innych. Nieszczęście, jeżeli przy swoim darze, spostrzegawczym zauważą oni pewne słabostki człowieka, że jest on *spidczydarny*, tj. że łatwo można go rozgniewać. Wtedy *zaskipidarzyć* *) go, *ognia dobyć* z niego — jest największą uciechą katorżników. Są zdumiewający mistrze pod tym względem. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak oni świetnie znają swoją władzę. Gdyby ona choć w setnej części tak ich znała! Powiedzą słowo, na pozór niewinne, a tu nagle urzędnik *zaskipidarzył się* (wybuchnął).

— Ja tylko, żeby według prawa...

Inspektor czerwieni się:

— Ot, ja ci pokażę prawo! Pozbawiony wszystkich praw — i jeszcze śmie o prawie mówić! Uczyć będzie! Jurysta! Szkoda, niegodziwcze, żeś o prawie nie myślał, idąc na rozbój.

— Cóż ja tam! Chcę tylko, żeby wedle instrukcyi...

Inspektor aż podskoczył. Ach, gdyby nie był świadkiem „pisarz“!

— Ja ci wypiszę instrukcyę! Uczyć mię będziesz!..

— Gdzież tam uczyć! Ja tylko żądam, żeby mi wydawano według tabeli.

— Według tabeli!? Według tabeli!?

Inspektor zgranatowiał.

— Ale niechże się pan uspokoi — mówię mu — po co się irytować! Czy to warto?

— Nic, ale cóż za kanalia! Jak sypie: według instrukcyi, według prawa i według tabeli!..

Tymczasem skazańcy, widzę, duszą się ze śmiechu. Inspektora *do pęcherzyka zapędzono*. Tak się nazywa w ich języku doprowadzenie człowieka do wściekłości, kiedy ten aż „ziemię ryje.“

— No, i po co to wszystko? — pytam następnie katorżnika.

— A bo on tych słów bardzo nie lubi. Wszystko można mu mówić, on nic. Ale „tabeli“ bardzo niecierpi.

— Przecież za to może skazać na chłostę!

— A tak!

— Więc poco, dziwaku, narażasz się?

— Eh, jaśnie wielmożny pan nas nie rozumie. Niech pan tak, jak my tutaj, posiedzi, a nie będzie pytał: „dlaczego?“ Cierpliwości zbraknie!

„Zaskipidarzyć,“ „ognia dobyć,“ „do pęcherzyka zapędzić“ — wszystko to są wyrażenia, zastosowane do władzy. Dokuczyć swojemu towarzyszowi, zobelżyć bez żadnej przyczyny, o tem wszystkiem mówią skazańcy pogardliwie: *ukąsić*. Na człowieka, w ten sposób dokuczającego,

*) Po rosyjsku skipidar znaczy *terpentyna*. *Spidczydarny* — jest wyrazem przekręconym, pochodzącym od pierwszego. (*Przyp tłom.*).

sza prasa niemiecka w dość przezroczystej formie szykanuje od niedawna swobodę, udzieloną „motłochowi" w nowszych czasach, a między innemi wolność przesiedlania się. Zrządzenia te odbiły się sympatycznem echem w sercach junkrów i skłoniły ich do szczerego podniesienia sprawy w sejmie pruskim, gdzie zasiada ich śmietanka. Tu, nie krępując się obecnością garstki demokratów, są jak u siebie w domu, prawodawcy pozbywają się wszelkiej etykiety politycznej i nie przebierają w wyrazach, mogących dotknąć niemiło „cuchnący plebs." Tu przed kilku miesiącami baron Stumm przezwał klasę robotniczą przydomkiem, którego nie pozwalają mi powtórzyć elementarne względy przyzwoitości. W tej samej instytucyi narodziła się obecnie myśl, iż ludowi wiejskiemu należy zagrodzić drogę, wiodącą do miast i przymocować go do gleby rolnej. Dotychczas, jeśli pominiemy instytucyę posiadłości ziemskich, junkrowie tylko w drobiazgach zdradzali swe tajemne myśli. Proponowano np. podnieść taryfę kolei wązkotorowych lub koszty przesyłki korespondencyi wiejskiej, aby w ten sposób utrudnić komunikacyę z miastem. Lecz prawodawcy reakcyjni nie myślą zadawalać się drobnymi środkami: należy całym łańcuchem ogniw prawnych przykuć chłopa do ziemi, aby nie sprzeniewierzał się jej dla miasta, dokąd go nęcą tingel-tangle i inne zbytki natury zdrożnej. Poseł Szmula z centrum zainterpelował w przeszłym tygodniu ministrów pruskich, co zamierzają przedsięwziąć, aby zapobiedz brakowi rąk roboczych na wsi. Minister Hammerstein, jako nieodrodny syn swej klasy, przyznał się do swej niechęci dla prawa, zezwalającego tłuszczy osiedlać się, gdzie się jej żywnie podoba. Na to atoli w naszych czasach zarazy demokratycznej niema rady. Trzeba się pogodzić z tym stanem rzeczy do zaświtania jutrzenki lepszej przyszłości. Tymczasem zaś minister zarządzi, aby miejscowości, niedomagające chronicznie na materyał ludzki, zaopatrywać w żołnierzy i więźniów. Oprócz tego uda się prawdopodobnie skrócić na wsi zbyt długi okres obowiązkowych studyów szkolnych, który pozbawia biedne dzieci możności zarobkowania. Z drugiej strony dołożą ministrowie starań, aby w miastach zaprowadzono opłatę od przybyszów wiejskich i zezwalano im przenosić się do murów wielkomiejskich tylko w razie wykazania stałych środków do życia lub własnych funduszów. Można więc ten zapowiedziany szereg sposobów uważać za preludyum do poważniejszej roboty. Takiemi samemi bowiem rakietami frazeologicznemi zapowiadano walkę z prawem stowarzyszeniowem. Rząd — wołali inicyatorowie — nie zamierza bynajmniej tknąć się świętych praw ludu, musi go atoli wziąć w obronę przed niecnymi uwodzicielami, bałamucącymi ciemną brać młodszą. Można z góry powiedzieć, iż wszystkie te środki pójdą na marne. Tylko dwie reformy byłyby w stanie jako tako polepszyć sytuacyę: rząd powinien znieść zakaz łączenia się najmitów wiejskich i udzielić im przywilejów, z których korzystają robotnicy miast lub też zaprowadzić reformy rolne w duchu tych, których dokonała Anglia w r. 1888. Żadnymi fortelami nie da się zamydlić oczu biednemu Szlązakowi, który pobiera na wsi dziennie 85 fen., a wraz z żoną 1,35 marki. Dopóki mu się nie podwyższy płacy i nie da warunków ludzkiego istnienia, nie powstrzyma się go od palenia za sobą przy pierwszej lepszej sposobności mostów wegetacyi wiejskiej. Wskutek swego bezprawia najmita wiejski pozostaje na zupełnej łasce chlebodawcy.

W tych dniach opisał pod osłoną pseudonimu jakiś rolnik w jednem z pism tutejszych stosunki moralne, panujące na wsi. Dowodzi on, iż każda dziewczyna, wynajmowana w Prusiech do dworu, o ile jej twarzyczka spodoba się panu, panicowi lub ich satelitom, musi wcześniej czy później okupić swe zajęcie upadkiem, a często smutniejszymi jeszcze skutkami. Dziewczyny, które stawiały opór zachciankom sułtanów wiejskich, skazywano na śmierć głodową, gdyż nawet okoliczni potentaci odmawiali zatrudnienia opornym paryasom, ośmielającym się traktować nogami odwieczne „jus primae noctus." Dalej opowiada autor, jak każde polowanie na wielką skalę kończy się orgią rozpusty wskutek tego, iż weszło w ostatnich latach w zwyczaj posługiwać się w tych wypadkach dziewczętami, zamiast chłopców. Wycieczkom myśliwców towarzyszą sceny najbrutalniejszych gwałtów i najbezwstydniejszych rozwiązłości. Skargi pozostają echem na puszczy. W dzień wyborów dziedzic rozdaje swym najmitom kartki wyborcze, któremi zaświadczają przed całym światem swe zadowolenie z obecnego stanu rzeczy. Stosunki mieszkalne na wsi spychają najmitę na stopień bydła i tłumią w nim instynkt przyzwoitości i czystości. W Niemczech ucieka on ze wsi, gdy musi raz na zawsze skwitować z marzeniami nabycia na własność szmata ziemi. Najbardziej sprzyjają temu okręgi, gdzie rozpanoszyły się latifundya. W prowincyi Sztralzundzkiej, gdzie 76% obszaru rolnego zagarnęli możnowładcy rolni, ucieka ze wsi co 18-ty robotnik, podczas gdy w okręgu Gambińskim z przeważającą ludnością chłopską zaledwie jeden z 1,575 kmiotków porzuca zagon. Na żądania junkrów odpowiedziała cała prasa jednogłośnym protestem. Nawet narodowo-liberalne płazy wyszły ze swej równowagi lojalności i kiwają groźnie palcem w bucie na znak niezadowolenia i współczucia dla maluczkich. Prawo bowiem swobody przesiedlania pochodzi jeszcze z okresu przedrewolucyjnego, z r. 1842, kiedy król sam uznał bezmyślność zakazu, tamującego rozwój przemysłu. W chwili obecnej zwłaszcza, kiedy przemysł niemiecki kroczy naprzód w butach siedmiomilowych, wskrzeszenie starego zakazu byłoby klęską dla całej fabrykacyi. Rząd, który głosi dziś konieczność popierania przemysłu i podboju nowych rynków, zadałby kłam własnym intencyom, gdyby zaspokoił roszczenia junkrów. Ma on wybór przed sobą: pójść za nawoływaniami 13 tysięcy wielkich właścicieli ziemskich, lub też dać posłuch wymaganiom 50-milionowej ludności.

Bezgraniczna buta junkierska spowodowała w kołach mieszczańskich wzrost ruchu, zmierzającego do upaństwowienia ziemi. Jedyny okręg berliński, którym rozporządza jeszcze liberalne mieszczaństwo, wystawia w tym roku kandydata w osobie głośnego byłego pułkownika Egidiego, kokietującego programem społecznym George'a. Egidi należy do najciekawszych osobistości świata społecznego Niemiec. Z powierzchowności i manier żołnierz, zjawia się ten mąż ludu wszędzie, gdzie są rozbierane sprawy jego pupilka. Sentymentalny, dobroduszny i poczciwy trybun ludowy, mało troszczył się dotychczas o hasło programowe, starając się o zlanie wszelkich prądów demokratycznych. W tym roku wystąpił on z programem, wypracowanym przez społeczników rolnych, którzy ukonstytuowali się jako osobne stronnictwo polityczne. Z kierunkiem tym sympatyzuje lewe skrzydło liberalizmu, t. zw. liberałowie społeczni, reprezentowani przez docenta Jastrowa, ściganego niedawno sądownie przez ministeryum pruskie, i młodego ekonomistę

---

patrzą oni jak na psa, który kąsa bez przyczyny. Gardzą tem, a jednak zawsze to popełniają.

— Można się stać psem tutaj! — mówią.

Kto ma nerwy poszarpane, jak rzekłem, ten lubi szarpać je innym. Ja cierpię, niech i on cierpi. Cierpienie jest złym ojcem współczucia.

Na podścielisku nudów, bezczynności, no, i w znacznej mierze zepsucia moralnego, w katordze strasznie jest rozwinięte kłamstwo. Tacy, którzy je uprawiają, zowią się: *zaliwały*, *dzwoniarze*, *chłopusze*. Ale ponieważ to wada ogólna, więc jest traktowana pobłażliwie. Na określenie kłamcy są dwie nazwy, w których więcej humoru, niż złośliwości:

— *Prosty, jak „duha"* *) — mówią o kłamcy, lub określają jego opowiadania w ten sposób:

— Patrzcie! opisuje! *Siedem wiorst do nieba samym lasem!*

Mówiłem już, że katorżnicy z pogardą traktują tych swoich towarzyszy, którzy stanęli u „władzy": zostali „starszymi" (starostami) itd. Taki nazywa się *szyszka*. Dozorca, który umie niepostrzeżenie wtargnąć i złapać aresztantów na grze lub innem wzbronionem zajęciu, nazywa się dowcipnie — *duch*.

Pomijam całą masę mniej charakterystycznych terminów. Katorga ma na wszystko stosowną nazwę. Jest ona skryta i nie lubi, ażeby uboczni rozumieli nawet zwyczajną jej rozmowę.

Jak gdyby żąda, ażeby człowiek, wchodzący do niej, wyrzekł się swojej przeszłości, nawet języka, którym mówił „tam," na swobodzie.

Zupa — polewka, nazywa się *bałanda*.

Chleb skarbowy — *czurek*.

Łyżka — *koń*.

Wódka — *woda obłąkana*.

Kożuch — *baran*.

Nóż — *żulik* itd.

Bardzo trafną nazwę nosi pasport — *oczy*.

— Bez „oczu" człowiek ślepy; gdzież pójdzie?

Ażeby skończyć z językiem katorgi, pozostaje mi tylko powiedzieć o połajankach.

„Katorżny," „aresztant" — wszelkie połajanki, to tylko zwykła przyprawa rozmowy. Ale istnieje jeden wyraz, za który rżną.

Jest to brutalne, gminne słowo, które na język przyzwoity da się przetłomaczyć: „kokotka."

To się tłomaczy szczególnymi warunkami katorgi. Ale powiedzieć, że ktoś się trudni tą profesyą, nazwać go tem imieniem — to obraza, na którą się odpowiada nożem.

W Michajłowskiem więzieniu śledczem pewien aresztant, piękny, młody Kaukazczyk, zarżnął swego towarzysza.

— Za co?

— On mię jednym wyrazem zelżył.

Zbyteczna pytać, jaki to wyraz.

(C. d. n.)

*) *Duha, duga* — łuk, kabłąk nad chomątem w zaprzęgu rosyjskim. (*Przyp. tłom.*).

Oppenheimera. Ten ostatni ogłosił w tych dniach pracę p. t. „Wielka własność ziemska i kwestya społeczna,“ gdzie wszelkie klęski ekonomiczne kładzie na karb ześrodkowania ziemi w nielicznych rękach. Organizacya wielkiej własności powstała na gruncie niewolnictwa; dziś zaś wytwarza ona najrozmaitsze plagi, jak nadwartość, emigracyę, przesilenie rolne, nadprodukcyę itd. Myśli autora przypominają poglądy Amerykanina George'a i głośnego włoskiego ekonomisty, Loria. Wrażenie atoli, które sprawiło w społeczeństwie to dzieło, pełne paradoksów i płytkich niekiedy filipik liberalnych, świadczy wymownie, jak zaostrza się antagonizm pomiędzy szlachetną kastą junkrów a plebsem mieszczańskim.

H. F.

POLSKIE OSADY NA WĘGRZECH.

II.

W czasie pobytu w Żywieckiem, szczególnie zaś w Milówce, w lecie r. 1891, spotkałem się na odpuście z ludnością tak różnego co do stroju od naszej charakteru, że zwróciłem na nią szczególniejszą uwagę i starałem się o niej zasięgnąć wiadomości. Na zapytanie: Skąd to ci ludzie? — odpowiadano mi: „To Słowiaki ze Skalitego“ — odpowiadali zupełnie dobrym językiem polskim, takim, jak ludność Milówki i osad okolicznych. Wycieczka, zrobiona do Skalitego, utwierdziła mnie całkowicie w tem mniemaniu, zwłaszcza że lud sam na słowa: „A to wy po polsku mówicie?“ — odpowiadał: „A tak, panocku, my Poláki, ino pod Uhry nalezymy“ *).

W taki to sposób zapoznał się R. Zawiliński z Polakami węgierskimi. Komisya antropologiczna Akademii umiejętności poparciem swem umożliwiła mu zbadanie tej grupy etnograficznej, a chociaż wyniki jego wycieczek są dość ułamkowe, to jednak samo ich przedsięwzięcie zasługuje ze wszechmiar na uznanie. Należy pragnąć, aby inicyator prowadził w dalszym kierunku swe poszukiwania i także, aby jak najliczniejszych znalazł naśladowców.

„Na tem też miejscu—mówi on dalej—zaznaczyć muszę bez przesady, że w poszukiwaniach nietylko nie miałem ułatwień i pomocy w nikim, ale owszem rozliczne, nieprzewidziane trudności. Ludność względem obcych, a szczególnie po polsku mówiących w Galicyi (czyli jak oni zawsze się wyrażają: „z Polski“), zachowuje się z natury rzeczy nietylko ostrożnie, ale nawet odpornie; niebezpieczną jest rzeczą nie podobać się byłemu żołnierzowi lub urlopnikowi — w takim razie przechadzka do „rychtara“ (wójta) nieuchronna. Urzędnicy kolejowi i służba, chociaż słowacka lub polska, mówią po madiarsku lub po niemiecku i patrzą z ukosa na gwarzącego inaczej; nauczyciel i proboszcz, Słowacy, uważającego ludność tamtą za polską gotowi ukamienować.“

Sądzę, że należy podkreślić ów wzgląd dla przygotowania na niespodzianki chętnych do wycieczek w te strony. Wyjaśnia on również, czemu Zawiliński w pierwszej chwili musiał ograniczyć się stroną zewnętrzną: notatkami o położeniu wsi, o mieszkaniach i o ubiorze mieszkańców i tylko przygodnie zdołał zebrać „okruchy innych właściwości.“

Wieś Skalite (za czasów Sembery 1,930 Polaków) leży (jak wiemy z notatek poprzednich) w komitacie Trenczyńskim, powiecie Czadczańskim, w kącie utworzonym przez granicę szląską od północy, galicyjską od wschodu. Dolina, wzdłuż której rozrzucone są mieszkania górali, ciągnie się połową w kierunku północno-zachodnim. Nie będę zatrzymywał się nad szczegółowymi opisami chat i stroju, dostarczonymi przez Zawilińskiego, zaznaczę tylko, że strój według niego „różni się od słowackiego, a bardzo jest zbliżony do ubioru ludności polskiej na Szlązku, szczególnie pogranicznej od Jabłonkowa ku Koniakowu.“

W pierwszej części swej pracy, drukowanej w r. 1893, autor zestawia jeszcze inne cechy polskości. Za polskim charakterem przemawiają nazwiska mieszkańców, jak np. Banasik, Burdzik, Karcmarzyk, Wronka, i właściwości mowy, „z których najważniejsze zachowanie nosówek ę, ą—ścieśnienie á, wymawianie twardego ł i miękich ć, dź, ś, ź, a nareszcie „mazurowanie“ s zamiast sz, z zamiast ż itp.“ Wreszcie z mapy, której użyczył mu dr. Bystroń, a która pochodzi z r. 1736, wynika, że Skalite przed 160 jeszcze laty przyłączono do Szlązka.

W r. 1893 Zawiliński chcąc określić bliżej obszar, zamieszkany przez mówiącą po polsku ludność, puścił się doliną rzeki Kysuczy w dwu kierunkach od Czacy: najpierw ku zachodowi wzdłuż górnego jej brzegu do źródeł, następnie ku południowi za jej biegiem do Krasna i wzdłuż wschodniego jej dopływu Oszczadnicy do wsi tej samej nazwy. W pierwszym kierunku idąc, dotarł do Turzówki, gdzie miał sposobność przyjrzeć się i rozmawiać z ludźmi z Makowa i Wysokiej, wsi leżących już na pograniczu morawskiem. „Dolina ta szeroka i dość urodzajna, o ile wylewy rzeki nieuregulowanej urodzaju nie niszczą; lud tegoż typu, co w Skalitem, porządnie ubrany, chaty tym samym sposobem budowane, ale bogatsze, z porządnemi stajniami i stodołami. Zamożność większa wpada w oko odrazu, ale równocześnie prawie co kilkadziesiąt kroków stojąca przy drodze karczma wskazuje, gdzie wieśniak topi swoją zamożność. Usiłowania wydobycia się z pod jarzma żydowskiego są, chociaż słabe; widziałem w Rakowej bardzo zasobny sklepik chrześciański, niedawno założony, który według zasięgniętych informacyj dobrze się rozwijał. Ludność wsi w tej dolinie położonych (Rakowa, Staszków, Podwysoka), mówi niby po słowacku; w istocie jest to mowa polska z licznemi naleciałościami słowackiemi tak leksykalnemi, jak i fonetycznemi. I tak, pozdrawiając przechodnia, mówią: „Pochwalem Pan Jeżisz,“ zamieniając słowackie „pochwalen“ według własnego rozumienia, ale mówią kiedyindziej: „moze Pan *Jezus* dá.“ Na życzenie pracującym: „Boże dopomagaj,“ odpowiadają: „Pam Bóg dej!“ Jak się to dzieje, łatwo znalazłem wyjaśnienie. We wszystkich wyrażeniach i zwrotach, odnoszących się do religii i obrazków kościelnych, zachowuje lud brzmienie słowackie, bo tak słyszy co tydzień w kościele; w innych zaś sprawach życia, spotykając się w mieście z inteligencyą lub kupcami, nabiera o tyle słowaczczyzny, o ile częstszem jest to jego obcowanie. Bywają tacy między starszymi gospodarzami, co potrafią mówić zupełnie po słowacku, a czynią to zawsze, przemawiając do surdutowca. Dopiero na wezwanie: „Mówcie-no po swojemu!“ zaczynają mówić po polsku, wtrącając tu i owdzie wyraz słowacki. W Wysokiej i w Makowie, przez częste obcowanie z sąsiednimi Morawianami, daje się czuć również wpływ morawski. Słowem — przez kościół, a poniekąd i szkołę, przez szerzące się poczucie narodowe Słowaków, występujące jawnie podczas wyborów i innych zajść natury politycznej, lud ten uważa się za Słowaków, choć jego tradycye i mowa są czego innego wskazówkami.

Takie same stosunki znalazłem w Krasnie i Oszczadnicy, tylko że Krasno, położone przy gościńcu i drodze żelaznej (której jest stacyą), ma więcej od innych wsi, przeze mnie zwiedzonych, charakter słowacki. W połowie drogi do Krasna siadłem na wóz młodego gazdy, który wracał z Czacy. Rozmowa potoczyła się dosyć żywo, kiedym gazdę poczęstował cygarem. Gdym mu się wylegitymował—bo od tego zaczyna się zawsze znajomość—com zacz, stał się poufniejszy, choć nie mogłem go sprowadzić z pola wspomnień jego służby wojskowej na pole stosunków społecznych. W mowie zauważyłem wiele, bardzo wiele słowaczczyzny. Mieszkańcy Oszczadnicy przez sąsiedztwo z Galicyą i Skalitem więcej mają w mowie polszczyzny, ale mniej, niż w Skalitem.“

Pomijam znowu cenne materyały etnograficzne, zebrane przez naszego ludoznawcę w Skalitem *), dotyczące pożywienia, zwyczajów dorocznych, obrzędów i zabaw. Autor zapisał także kilka pieśni, bajek i zagadek. Przytoczę jedynie wyjątek z opisu wesela, gdyż ten jako spisany przez gospodarza skalickiego, Michała Ciasnochę, daje wierny obraz gwary, tylko że jako pochodzący od wieśniaka, znającego książkowy język słowacki, liczy więcej, niż mowa potoczna, naleciałości słowackich:

„Opis jedna swadźby.

Kied mają rodzicowie syna *aż* do żeńby, tak rozprawiają, gdzieby tez to miał iś, to tam, to tam, spominają, a ten syn, jak sie mu gdzie nie lubi, to powie ujcom: „A to se tam idźcie wy,“ a gdzieby sie mu lubiło, tak powie: „No to uż, *len* kto wie cy pódzie za mnie, ale wszak uwidzimy dáli, jako to bedzie.“

Próbka ta wystarcza. Za Zawilińskim powtórzymy: „są to zapomniane kresy!“ i dodamy: czas o nich pomyśleć. „Towarzystwo tatrzańskie“ i „Towarzystwo szkoły ludowej“ winny by przedewszystkiem wziąć na siebie inicyatywę: pierwsze w dalszem badaniu, drugie w rozszerzaniu pola swej działalności i na krańce węgierskie.

W. Bugiel.

*) R. Zawiliński: „Przyczynek do etnografii górali polskich na Węgrzech.“ *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*, t. 17, s. 3. Kraków, 1893.

*) Wyniki wycieczek z 1893—5 znajdują się w „Materyałach antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych“ (dalszy ciąg „Zbioru wiadomości“) t. 1, Kraków 1896, s. 380—425.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Słownik języka polskiego.

Po długich przygotowaniach i staraniach redakcya „Słownika języka polskiego“ ogłosiła nareszcie podpisaną przez pp. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego, zapowiedź wydawnictwa, które podjęła bez nakładcy, oddając go, po pokryciu kosztów, na własność Kasy im. Mianowskiego. Ma ono objąć około 240 szesnastostronicowych arkuszy w czterech grubych tomach, które wyjdą w przeciągu lat 4 do 5. Cena w prenumeracie wynosi rs. 10 bez przesyłki. Do odezwy dołączono pierwszą kartę, która świadczy o umiejętności i staranności redakcyi, ale także o pewnej przesadzie. Jak widać z próby, postanowiono włączyć do „Słownika“ wyrazy obce w ich formie czystej i skażonej, cho-

-ciażby one krążyły w mowie naszej bardzo nielicznie lub były dziwolągami braku wykształcenia. Tak np. czy niemiecki *Abdruk* nie powinien być pominięty? Wyławiając podobne nabytki, trzeba będzie połowę wyrazów francuskich, niemieckich, włoskich, żydowskich itd. przenieść do naszego „Słownika,“ bo ktoś kiedyś ich użył. Dalej znajdujemy nietylko *abcug*, ale także: *abcugować*, *abcugowanie*; sądzimy zaś, że przynajmniej wyrazy pochodne należy w tych wypadkach opuszczać. Zamieszczono *abcas* (obcas). Ponieważ niższe klasy wszystkie wyrazy obcego pochodzenia wymawiają błędnie, więc te skażenia wytworzą w „Słowniku“ ogromną kupę śmieci. Bo, jeżeli uwzględnimy *abcas*, to musimy również uwzględnić *lewelwer*, *ifloreza* (influenca), *wloczyped* (welocyped) itp. *Abecadlarz* jest wyrazem rzadkim, a redakcya zapisuje drugą jeszcze jego formę *abecadlarz*. W nadmiarze dokładności zaciąga nawet wyrazy obce, użyte w zrozumiałych przenośniach: przy *ablegierek* dodaje: „demokratyczny w obozie konserwatywnym.“ A jeżeli ktoś powiedział: „demokrata okulizowany konserwatywnie,“ to także należy przytoczyć przy *okulizowaniu*? Wogóle zdaje nam się, że redakcya powinna odsiewać materyał gęstszem sitem i zebrać czyste ziarna języka z temi przymieszkami, które w nich stale pozostają. Natomiast formy skażone przez nieświadomość lub kaprys, należy usunąć. Że łobuzi warszawscy *picie* nazywają *wstawianiem*, a reporterzy dorożkarzów — *rycerzami bata*, że służące mówią *szer* i *szarna*, to nie racya, ażeby to wprowadzać do „Słownika.“ Inaczej urośnie on do stu tomów — i jeszcze będzie niezupełny.

Wystawa inwentarza.

Prosimy przy czytaniu poniższych słów pamiętać, że to się dzieje w „kraju rolniczym.“

„Biorąc pod uwagę, że deklaracye na wystawę wpłynęły dotąd w niezadawalającej liczbie, postanowiono (w komisyi) odroczyć przyjmowanie *takowych* do dnia 20 maja, o tem odroczeniu poczynić stosowne ogłoszenia we wszystkich pismach, a nadto upoważniono członka... o postaranie się w redakcyach pism o energicznem podniesieniu kwestyi (?) wystawy w szeregu artykułów, jakie redakcye uznają za stosowne“ itd.

Pomijamy gramatykę i stylistykę w tem ogłoszeniu, bez których nawet komisya wystawowa obejść się może, ale jak sobie wytłomaczyć tak wielką obojętność na wystawę zwierząt gospodarskich w kraju rolniczym, że aż umyślnie wydelegowany członek musi pobudzać redakcye do zachęcania producentów, ażeby dbali o własny interes? Odpowiedź dawno znana: nasze wystawy inwentarza nie są pokazami owoców pracy, służących ogólnym potrzebom, ale popisami zbytku. Uczestniczy w nich zwykle kilka stajen, kilka obór, owczarni i chlewni, hodujących aklimatyzowane rasy zagraniczne, na które pozwolić sobie mogą tylko ludzie bogaci, a gdy cały ten gospodarski zbytek nie uczuje w danej chwili powodu do występu publicznego, przedstawienie chybia celu. Ogół ziemian, ktory nie ma do pokazania kosztownych reproduktorów i matek, który nie może zapłacić po kilkaset rubli za konie lub buchaje, interesuje się wystawą tylko jako sposobnością do zadowolenia oczu. Jest to zwykle popis panów, oglądanych przez gapiów. O udziale wytwórców skromniejszej miary, produktów zastosowanych do potrzeb zwyczajnych, o licznych zakupach i sprzedażach nie ma tu mowy.

Powyższe uwagi są tylko garścią grochu, którą wielokrotnie i bezskutecznie rzucano na ściany naszych wystaw rolniczych. Wszystkie odezwy, starania członków w redakcyach i „szeregi artykułów“ nic nie pomogą, bo całe przedsięwzięcie jest w zasadzie swojej kaleckie, jest raczej zbytkowną zabawą, niż operacyą ekonomiczną.

Nowa ofiara.

Doprawdy rodzina Wawelberga tak nas przyzwyczai do swej nadzwyczajnej hojności, że niedługo będziemy mieli pretensyę, gdy upłynie miesiąc a nie otrzymamy od nich jakiejś setki tysięcy rubli na cele dobroczynne. Oto znowu w dniu, kiedy zakładano kamień węgielny pod dom dla robotników, p. S Rotwand dla uczczenia pamięci żony, Maryi Wawelberg, złożył ofiarę w wartości 100,000 rubli. Mianowicie podarował dom przy ulicy Siennej wraz z ogrodem, w którym ma być wzniesiona jego kosztem budowla, mieszcząca w sobie „żłobek“ dla maleńkich dzieci robotniczych, dwie ochrony dla starszych chłopców i dziewcząt, oraz szwalnia dla tych ostatnich. Obok wielkiej, na tle skąpstwa naszych bogaczów bezprzykładnie odbijającej ofiarności, szczególnem uznaniem odznaczyć należy jej kierunek. Pp. Wawelberg i Rotwand przeznaczeniem swoich darów dowodzą, że nietylko umiłowali dobro swego społeczeństwa, nietylko oceniają należycie jego potrzeby, ale rozumieją i odczuwają wymagania czasu, który każe filantropii zwracać się przedewszystkiem w stronę klas pracujących. Rzec można, że ci ludzie doskonale oryentują się w położeniu. Nie wstąpili oni na wydeptane drogi i ścieżki, po których chodziła dawniej nasza dobroczynność i teraz jeszcze czasem paraduje w postaciach mamutów społecznych, ale obrali gościniec, wytknięty przez ducha czasu. Byłoby to wielką niewłaściwością, gdybyśmy zarówno tę, jak poprzednie ofiary poddawali krytyce ze stanowiska hierarchii potrzeb. Należy każdemu pozostawić swobodę w wyrażaniu czynem swej dobrej woli, a chociażbyśmy byli nieraz przekonani, że jakaś stworzona przez nią instytucya byłaby bardziej pożądaną w innej postaci, musimy przyznać, że ona w danej będzie bardzo pożyteczną i zdejmie cząstkę ciężaru z ramion, zbyt jego brzemieniem obarczonych. Fundacye pp. Wawelberga i Rotwanda próbowano rozbierać na cegiełki i podejrzliwie je ważyć, nas ta analiza nie nęci, my widzimy tylko przed sobą doniosły fakt ich istnienia.

Stylowy konkurs.

Kraków posiada dziwnie urodzajny grunt dla wszelkich małości, intryżek i kolczatej sprawiedliwości. Towarzystwo sztuk pięknych postanowiło uczcić pomnikiem A. Grotgera, wyznaczyło więc konkurs ograniczony pomiędzy rzeźbiarzem T. Błotnickim i malarzem W. Szymanowskim. Rzeczywiście p. W. Szymanowski obok malarstwa zajmuje się również rzeźbą, a nawet okazał w niej zdolność, ale nie tej muzie służy głównie i nie od niej odbiera lepsze natchnienia. Wciągnięcie go więc do konkursu zamkniętego odrazu zdradzało zbyt wyraźną protekcyę, która zupełnie odsłoniła się w wyroku, przyznającym pierwszeństwo utworowi p. Szymanowskiego. Nie widzieliśmy obu projektów, ale sądząc z przesłanych nam doniesień i głosów pism miejscowych, przypuszczamy, że znowu protekcya przebrała się w szaty sprawiedliwości i urządziła jedną z tych maskarad, które Kraków ogląda ciągle. Podobno przyjaciołom laureata chodziło o to, ażeby mu utorować drogę do profesury rzeźbiarstwa. Jeśli to nie plotka, to lekkomyślność, z jaką poświęcono na ofiarę w tej komedyi zasłużonego rzeźbiarza p. Błotnickiego, jest bardzo brzydką. Po cóż go było narażać, wybrawszy przedtem zwycięzcę? Czyż nie byłoby już rzetelniej bez konkursu zamówić rzeźbę u p. Szymanowskiego i wzmocnić przez to jego prawo do ubiegania się o katedrę?

Wyznajemy szczerze, że otrzymawszy skądinąd podobną wiadomość, wahalibyśmy się z daniem jej wiary; ale Kraków jest tak klasyczną widownią fars konkursowych, że powyższy obrazek wydaje nam się zupełnie w jego stylu. Zaznaczyć winniśmy, że w sprawie tej zawiązała się już polemika między pismami galicyjskiemi i że niezadowoleni odwołali się do sądu „opinii publicznej.“ Może ten trybunał okaże się sprawiedliwszym, ale cóż z tego, kiedy nie ma mocy unieważniać wyroków pierwszej instancyi, a często nawet zawzięcie milczy!

Dla upośledzonych na umyśle.

Kurator domu Schronienia sierot i starców starozakonnych, p. Michał Bergson, poruszył myśl otwarcia w Warszawie instytucyi pod nazwą „Przytułku dla upośledzonych na umyśle starozakonnych.“ Pensyonarze otrzymają w tym zakładzie mieszkanie, wikt i opiekę. Projektodawca ofiarował na początek rs 500 Warszawa odczuwa dawno potrzebę takiego zakładu wogóle dla idyotów i obłąkanych, pozostawionych na ulicy. A jednak nasze Towarzystwo dobroczynności jego wybitni, możni działacze dotychczas nie pomyśleli o tak ważnej instytucyi. Upośledzonych tego rodzaju jest bardzo dużo. W najokropniejszej nędzy, obdarci napół nadzy, błąkają się po mieście i są pośmiewiskiem wychowańców ulicy: łobuzów. Miłosierdzie nasze dziwnemi drogami chodzi: pełni ono różne praktyki i uczynki, być może zaspakajające miłość własną, lecz w stosunku do istotnych potrzeb społecznych— bardzo często jałowe. Podobno Towarzystwo opieki nad zwierzętami zabiera na ulicy psy wycieńczone z głodu. My zaś widzieliśmy idyotki i idyotów, wynędzniałych, drżących z zimna w nocy pod ścianami domów. Pomimo ciszy, jęki ich, niesione daleko przez ostry wiatr zimowy, nie zdołały przebić murów dobroczynności i mieszkań możnych opiekunów, zajętych miłosierdziem towarzysko-sportowem.

Brak fachowców.

W naszem życiu społecznem i ekonomicznem od dawna daje się zauważyć stałe, znamienne zjawisko: Liczne rzesze ludzi, pozbawionych sposobu istnienia materyalnego, zalewają nieustannie wszystkie ogniska pracy, dobijają się o nią bezskutecznie i w rezultacie potęgują nędzę w tych środowiskach. Jednocześnie różne przesiębiorstwa, zakłady techniczne, przemysłowe, handlowe itd., poszukują ludzi uzdolnionych odpowiednio i znaleźć ich nie mogą w kraju. Zjawisko to wymownie stwierdza brak wykształcenia fachowego u nas. Poszukują pracy setki, a nawet tysiące ludzi „do wszystkiego,“ a właściwie do niczego, gdyż do żadnej pracy zawodowej nie są uzdolnieni. Tymczasem pola pracy specyalnej rozszerzają się u nas coraz bardziej i gdyby istniała możność wytwarzania specyalistów w takim stosunku, liczne rzesze pracowników znalazłyby bardzo korzystne zarobki. obecnie mamy do zanotowania nowy fakt, stwierdzający ten brak dotkliwy: Pracownie rzeźbiarskie tutejsze otrzymały znaczną ilość zamówień ozdób oryginalnych do domów budowanych w sezonie bieżącym. Niektóre, w braku modelatorów miejscowych, musiały wezwać fachowców z Włoch!

BADANIA NAUKOWE.

PSYCHOLOGIA PLEMIENNA.

Istnieją w socyologii zagadnienia, które łatwiej jest sformułować i nawet uzasadnić teoretycznie, aniżeli rozwiązać w pewnych szczególnych przypadkach. W ich liczbie można zamieścić wszelkie kwestye, dotyczące tak zwanego „ducha narodowego,“ „charakteru,“ jak niektórzy wyrażają się poprawniej. Żadnej wątpliwości nie ulega, że każda grupa etniczna posiada pewne właściwości w czuciu, myśleniu i działaniu, i to nawet wtedy, gdy weźmiemy narody, znajdujące się na tym samym szczeblu rozwoju więzi społecznej. Każdy z nas, stykając się z ludnością pewnych krajów, spostrzegł pewne rysy w jej zachowaniu się, których gdzieindziej szukałby nadaremnie. O ile bierzemy osobę, w jej postępowaniu nie zawsze zauważymy taką odrębność, ale dość obejrzeć tłum i zbadać jego fizyognomię, aby dostrzedz coś posiadającego osobliwy, tylko sobie właściwy charakter. Gromada Francuzów w teatrze na tej samej sztuce będzie zgoła inaczej wypowiadała wrażenie swoje, aniżeli Włosi, Holendrzy lub Niemcy. Istnienie „ducha narodowego,“ tj. pewnych szczególnych rysów duchowych, charakteryzujących naród lub plemię, jest faktem, któremu niepodobna zaprzeczyć — mniejsza, w jakiej postaci on się uwydatnia, czy jako właściwość wspólna wszystkim, czy jako poszarpana przez zasadę klasowości. Co więcej, w rozbiorze teoretycznym możemy nawet wskazać wszelkie czynniki, pod wpływem których urobił się ów duch narodowy, i ocenić rolę wzajemną i napięcie każdego z nich z dość znacznym stopniem prawdopodobieństwa, oraz zanalizować, jak owa fizyognomia ogólna ma się do charakteru pojedynczych osób. Ale gdy od rozważania teoretycznego przejdziemy do faktów konkretnych, tj. do studyów nad którymś z ludów, i zechcemy poddać rozbiorowi jego duchowość, napotkamy trudności, których nie było widać, póki rozstrząsaliśmy zadanie w formie oderwanej. Przynajmniej dotychczas nie znamy ani jednej próby, któraby naszem zdaniem wypadła zadawalająco, bo istniejące prace należą raczej do działu publicystyki, aniżeli wiedzy. Świeża książka Alfreda Fouillée *), poświęcona psychologii narodu francuskiego, nie stanowi zbyt odskakującego wyjątku, acz trzeba przyznać, iż charakterem naukowym odznacza się bardziej, niż inne. Autor w przedmowie zaznacza, że chodzi mu także o cele praktyczne. „Fatalizm psychologiczny i historyczny — oświadcza on — pod wszelkiemi formami, głównie zaś pod najbardziej odbierającemi otuchę, rozpowszechnia się za naszych czasów. Należy go zwalczać. Przeciwnicy nasi dowodzą, że skutkiem naszego charakteru narodowego jesteśmy skazani na niższość duchową, która zagraża nam zanikiem w bliższej lub dalszej przyszłości. Czy ma to być prawdą? A może, naprzekór wadom i niedostatkom, którym nie godzi się ukrywać, które trzeba nawet ujawniać pozostaniemy i nadal obdarzeni przez naturę i długi spadek wieków możnością i, co zatem idzie, obowiązkiem utrzymania się na wysokiem stanowisku!“ Naturalnie, jesteśmy dalecy od tego, ażebyśmy mieli czynić komuś za rzut z podnoszenia i rozwiązywania takich zagadnień. Co więcej, jeśli wiedza społeczna ma posiadać wartość jaką kolwiek, musi rozpatrywać podobne kwestye, które w niczem nie stają na zawadzie naukowemu traktowaniu sprawy. Zarzucając więc badaczowi francuskiemu, że praca jego nas nie zadawala, i zaznaczając, że wogóle w studyach nad duchem narodowym jest zbyt wiele pierwiastku publicystycznego, bynajmniej nie dlatego występujemy przeciw temu, że pragnie ktoś przelać światło na niedomagania bieżące. Raczej mamy na myśli brak metody naukowej, zbyt jaskrawo uwydatniający się w poszukiwaniach tego rodzaju. Przeważa w nich anegdota z ogólnikami, panuje dowolność w wyborze faktów, uprzedzenia subjektywne górują. Co najgorsza, nie umiemy nawet wskazać środków zaradczych — czujemy braki, lecz nie wiemy, jak je usunąć.

O ile chodzi o przymioty duchowe narodu francuskiego, książka A. Fouillée'go pozostawia bardzo dużo do życzenia. Jest w niej jednak pewna część, zasługująca na uwagę, mianowicie wstęp, poświęcony rozbiorowi czynników, oddziaływających na charakter narodowy. Autor bada rzecz w oderwaniu, teoretycznie. Zatrzymamy się nieco drobiazgowiej nad wywodami jego i poglądami, wypowiedzianymi w tym rozdziale.

Psychologia narodów, według niego, zajmuje się nie charakterem osób pojedynczych, lecz typem ogólnym postępowania. Rozumie się, właściwości duchowe jednostek nie są obojętnemi, duch narodowy bowiem jest poniekąd wytworem ducha pojedynczych członków danej grupy etnicznej, lecz swoją drogę stanowi on kategoryę odmienną, w pewnej mierze niezależną od natury części składowych. Nie jest on tylko prostą sumą charakterów indywidualnych, ale czemś więcej. W łonie społeczeństwa, opartego na zasadach demokratycznych, takiego, jakim jest naród francuski, pomiędzy obywatelami zachodzą nieustające oddziaływania, które rodzą pewien powszechny sposób czucia, myślenia i postępowania, odmienny od sposobu, właściwego osobom pojedynczym i nawet ich sumie. Charakter narodowy nie jest nawet czemś przeciętnem, co moglibyśmy otrzymać, idąc za wzorem Galtona, produkującego fotografie zbiorowe suchotników i in. Wywiera on wpływ szczególny na działalność pojedynczych osób, jest więc nietylko pochodną charakterów indywidualnych, ale sam je kształtuje ze swej strony. Typ ów zbiorowy przedstawia nietylko wynikową dzisiejszych warunków społecznych, lecz i ubiegłych, fizyognomia narodu streszcza w sobie ogół czynników fizycznych i społecznych, działających w ciągu wieków, niezależnych od pokolenia żyjącego, a nakładanych przez idee, uczucia i instytucye przeszłe. Jednostka w stosunku swoim do współziomków podlega ciśnieniu całych dziejów swojej grupy. Jak naród posiada byt samodzielny, niezależny od bytu pojedynczych członków, tak samo i jego charakter jest nie czem innem, tylko szczególną kombinacyą sił psychicznych, ale mającą odrębne istnienie. Ażeby zbadać rodowód ducha oraz bodźce, pod działaniem których ulega on zmianie, trzeba zwrócić się do istoty tłumu. Wszelka gromada czuje głęboką potrzebę pewnego *unisono*, które powstaje żywiołowo pod wpływem oddziaływania wzajemnego. Cała różnica tkwi w tem, że owa wzajemność w życiu narodowem jest nieskończenie bardziej złożoną, że nie ma charakteru przemijającego, jakim wybuchy tłumu się odznaczają. Właśnie badając rzecz z punktu trwałości takich oddziaływań, mamy prawo powiedzieć, iż naród jest jestestwem ciągłem. Nie godzi się wyrokować o nim na podstawie studyów, dokonanych kolejno nad osobami, z których się składa, trzeba uchwycić nie odosobnione pierwiastki, ale samą strukturę zbiorową. Zetknięcie żywiołów indywidualnych stwarza osobliwe zjawiska i prawa. Stan świadomości indywidualnej może oddziałać na świadomość powszechną, ale nie w sposób bezpośredni— obywatele wpływają na siebie wzajem w miarę stosunków ich łączących i dopiero rezultat tego oddziaływania w ten lub inny sposób zmienia fizyognomię narodu, ta zaś ostatnia posiada ostateczne źródło swoje bezpośrednio w warunkach bytu organizmu narodowego. Warunki te zaś są odmienne od warunków bytu indywidualnego. Przy analizie ducha narodowego trzeba zawsze odróżnić warunki ogólne i osobiste, zależy on bowiem bezpośrednio tylko od pierwszych, od drugich zaś jedynie w sposób pośredni.

Każdy naród posiada pewien zmysł własny, pewną świadomość i wolę. Jak w każdym z nas tkwią pewne idee-podniety i pewne uczucia-bodźce, tak samo bywa także w stosunku do całego społeczeństwa. Te pobudki powszechne ujawniają się za pośrednictwem umysłów indywidualnych: w jaźni każdego spoczywają pokłady, różne od pobudki czysto osobistej i w potrzebie dyktują odpowiedniego rodzaju postępowanie. „W gromadzie mózgów i stanów świadomych istnieje cały system idej, odzwierciedlających otoczenie społeczne, podobnież jak istnieją takie same wpływy otoczenia fizycznego. Jest to rodzaj determinizmu zbiorowego, którego część pewna w nas spoczywa, inna zaś we wszystkich pozostałych członkach społeczeństwa. Ten system idej, nawzajem zależnych, stanowi świadomość narodową, umiejscowioną nie w mózgu zbiorowym, ale we wszystkich mózgach indywidualnych, a jednak niebędącą tylko prostą sumą inteligencyj indywidualnych.“

Fouillée przedstawiwszy, czem jest duch narodowy i w jakim stosunku znajduje się do indywidualnego, poddaje rozbiorowi warunki powstawania i trwałości temperamentu (i charakteru), właściwych pewnej grupie etnicznej. Odróżnia on trojakiego rodzaju wpływy: dziedziczności, które utrwala nabyte przymioty, dodatnie lub ujemne, i z biegiem czasu stwarza rasy; następnie otoczenie fizyczne, które usiłuje przystosować członków narodu do swoich wymagań, wreszcie środowisko moralno-fizyczne. Z pośród tych czynników doniosłość otoczenia martwego, niegdyś w okresie pierwotnym bardzo potężna, maleje w miarę cywilizacyi, człowiek odgradza siebie od przyrody atmosferą sztuczną, która powoli osłabia wpływy warunków fizycznych i zamienia je przez stosunki ekonomiczne i inne. Natomiast znaczenie otoczenia moralno-społecznego wzrasta i zaczyna przeważać coraz bardziej, kształtując odpowiednio przymioty narodu. Rozpoczynają działalność swoją dobory odmiennego rodzaju, aniżeli w wcześniejszych okresach dziejów: tamte usuwały z pośród plemienia jednostki niewytrzymałe na wpływy klimatu i na inne oddziaływania natury fizycznej; te zaś, które ujawniają się w fazie cywilizacyjnej, wywierają skutki nie tyle fizyczne, ile duchowe. Za pomocą doborów społeczeństwo stwarza dla siebie odpowiednie narzędzia, tj. obdarza członków swoich potrzebnymi sposobami czucia, myślenia i działania. A. Fouillée bierze rasę w znaczeniu, w jakiem antropologia nowoczesna używa tego terminu, a więc we Francyi odróżnia trzy zasadnicze typy: śródziemnomorski, krótkogłowy górski i blondyna. Bardzo często korzysta on z wywodów Lapouge'a, acz wielokrotnie czyni względem nich zastrzeżenia. Widać, że nie wie poprostu, co zrobić z paradoksami tego oryginalnego umysłu, czuje

*) A. Fouillée. *Psychologie des peuples français*, Paryż.

w nich często naciąganie faktów, ale nie umie odnaleźć go. Z tego powodu niekiedy wpada w sprzeczność z samym sobą. Nie zwrócił więc uwagi na zasadniczy błąd wywodów historyozofii antropologicznej. Ta ostatnia milcząco przyjmuje, jakoby typy rasowo-antropologiczne co do swego temperamentu i uzdolnień były niezmienne — wprawdzie teoretycznie przyznaje ona zmienność, ale rozpatrując wypadki konkretne, zapomina o tem. Blondyni więc, krótkogłowcy itd. wchodzą do procesów dziejowych, jako pierwiastki zawsze jednakowe tak samo, jak wodór i tlen w połączeniu wzajemnem. W gruncie rzeczy jednak żywioły rasowe przekształcają się i, jak wykazują studya, może mniej efektowne, ale za to sumienniejsze, Virchowa i innych, długogłowi blondyni zmieniają nawet kształt czaszki swojej. Długogłowcy, nie dlatego, że są blondynami, ale poprostu że są długogłowcami, tj. że może pewne części mózgu są u nich bardziej rozwinięte, odznaczają się większą energią i inicyatywą pomysłów i czynów, słowem awanturniczością dziejową. Pod wpływem kultury umysłowej przednie zwoje mózgu wzrastają i nadają czaszce kształt krótkogłowy — w ten sposób z pośród blondynów długogłowych, niezależnie od skrzyżowań z krótkogłowcem alpejskim, tworzy się grupa blondynowa krótkogłowa, posiadająca w porównaniu ze swoim przodkiem bardziej rozwinięte powściągi umysłowo i, co za tem idzie, mniej awanturnicza dziejowo. Wzięliśmy jeden z doborów, zmieniających fizyognomię duchową pewnego typu. Moglibyśmy dodać inne, które jeszcze bardziej uwydatniłyby tę prawdę, że pierwiastek rasowy w dziejach jest kategoryą zmienną. Naturalnie, taka zmienność nie niszczy wpływów rasowości, atoli zadaje cios wywodom, usiłującym pewnej specyalnej rasie wyznaczyć trwałą, zawsze w tym samym kierunku idącą rolę dziejową.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

W. Smoleński: *Szkoły historyczne w Polsce.*—Bronisław Nałęcz Kąsinowski: Beitrage zu einem Studium des Lustspieldichters *Franciszek Zabłocki.* I Theil. Brody, 1897, str. 48.

Dzieła historyczne, po beletrystyce, liczą u nas najwięcej piszących i czytelników. Kto się nie zapuszcza w zbyt wielkie szczegóły erudycyjne, kto umie jasno, zrozumiale albo nawet powabnie opowiadać, tego utwory cieszą się największą stosunkowo popularnością. Z dawniejszych Szajnocha, z nowszych Kubala i Antoni Rolle zyskali sobie licznych wielbicieli i stali się poczytnymi.

Ażeby jednak czytanie dzieł historycznych nie było tylko biernem wchłanianiem wiadomości tam zawartych, oraz uogólnień, jakie autor wyprowadził z faktów, lecz przyczyniało się także do rozwoju umysłu czytelnika, pożądaną a nawet potrzebną jest *świadomość* kierunków i dążności, które historyografia przedstawia i którym ulega.

Bo chociaż każdy historyk zapewnia o swej bezstronności czy o swej przedmiotowości (co bynajmniej równoznacznem nie jest, lubo się z sobą łączy), to wiadomo przecież, że człowiek nie potrafi wyzbyć się swoich myśli, uczuć, upodobań, nałogów tak, ażeby w jego opiniach była tylko fotograficzna dokładność w odbiciu rzeczywistości obecnej czy minionej. Tam zwłaszcza, gdzie najżywotniejsze sprawy i zagadnienia wchodzą w grę, jak to jest w opowiadaniu historycznem, człowiek opowiadający, jeżeli nie chce pozostać suchym jeno kronikarzem, czy raczej rocznikarzem, musi uwydatnić swą duszę, musi wypowiedzieć, co zdaniem jego jest dobrem a co złem; wykazując zaś przyczyny i pobudki działań ludzkich i wypadków dziejowych, musi posługiwać się jakąś psychologią i filozofią.

Ten konieczny, niedający się wykluczyć żywioł podmiotowy (subjektywny) wytwarza właśnie rozmaitość poglądów na te same fakty, na ich źródła i wyniki, czyli inaczej mówiąc, wytwarza odrębne zabarwianie historyograficzne. Że na ten żywioł subjektywny oddziaływa w bardzo znacznym, jeżeli nie przeważnym stopniu atmosfera duchowa, wśród której historyk wychowuje się i żyje, to żadnej nie ulega wątpliwości.

Otóż wśród ogółu naszego mało jest rozwinięta *świadomość* kierunków historycznych, a stąd i możność należytej oceny dzieł, opowiadających o przeszłości. Do rozwinięcia świadomości takiej przyłożyć się może świeżo wydana książka p. Władysława Smoleńskiego p. t. „*Szkoły historyczne w Polsce*, główne kierunki poglądów na przeszłość," wydana jako tom 19-y „Biblioteki dzieł wyborowych" z przedmową p. Aleksandra Rembowskiego.

Dawszy króciutki przegląd historyozoficznych zapatrywań w wieku XVII i większej części XVIII, autor rozpoczyna szczegółowem przedstawieniem rzeczy dopiero od czasów, kiedy się po raz pierwszy zabrano do krytycznego rozejrzenia się w przeszłości naszej, po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej. Wyróżnia tu dwa typowe poglądy: republikański, reprezentowany przez Wielhorskiego i monarchiczny, rozwinięty przez najznakomitszego owczesnego dziejopisa, Adama Naruszewicza. Według pierwszego przyczyną nieładu w kraju i rozprężenia było odstępstwo od pierwotnej ustawy republikańskiej; według drugiego — słabość rządu skutkiem naruszenia i podkopania władzy królewskiej.

Te dwa poglądy w rozmaitej postaci i zabarwieniu powtarzać się będą wciąż niemal aż do najnowszych czasów.

Z początkiem XIX stulecia kierunek nadany przez Naruszewicza rozwija się bujnie, chociaż nie wydaje dzieł znakomitych. Autor zastanawia się szczegółowo nad pojęciami, zawartemi w „Prospekcie historyi narodu polskiego," opracowanym przez Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie, oraz nad poglądami Kwiatkowskiego i Niemcewicza, który najdosadniej wyraził kierunek tej szkoły.

Przeciw temu wygórowaniu kierunku monarchicznego musiał z kolei postawić opozycyę prąd demokratyczny, reprezentowany przez Lelewela, który przypisał upadek kraju sprzeniewierzeniu się starosłowiańskiej zasadzie równości i wolności wszystkich, oskarżając o to królów, magnatów i szlachtę. Jakkolwiek Lelewel wywierał wpływ na umysły bardzo silny, nie należy jednak mniemać, iżby mu w owej dobie wszyscy historycy podlegali. Każda ze składowych części ustroju politycznego Rzeczypospolitej znalazła obrońcę w takich pisarzach, jak Waleryan Wróblewski (Koronowicz), Karol Hofman, Maurycy Dzieduszycki i inni. Antoni Walewski położył nadmierny nacisk na znaczenie lojalności, którą zabarwił po austryacku.

Opowiedziawszy w rozdziale IV-ym o ruchu na polu historyograficznem po roku 1864, uwydatniwszy główne zdobycze tego ruchu i wyliczywszy ważniejsze monografie przed r. 1886 wydane, p. Smoleński charakteryzuje następnie nowe uogólnienia, podjęte przez Józefa Szujskiego i Michała Bobrzyńskiego na podstawie świeżo ogłoszonych materyałów i świeżych metod badania. Zestawiając je z temi, jakie wypowiedzieli w swoim czasie Lelewel i Naruszewicz, dochodzi do przekonania, że w nich tak samo, jak i w dawniejszych silnie się uwydatniła tendencya polityczna danej chwili, że zanadto jednostronnie się przywiązując do faktu upadku państwa, przyczyn jego w wyłącznym tylko dopatrywali się kierunku. Co więcej, p. Smoleński widzi w nowych uogólnieniach brak tych stron dodatnich, jakie cechowały pogląd Naruszewicza i jego epigonów; nawołuje więc w końcu do wyzwolenia badań dziejowych z więzów polityki praktycznej i zaniechania naciąganych wywodów dla objaśnienia upadku, zalecając przedmiotowe badania wszystkich zjawisk dziejowych, pomyślnych czy niepomyślnych dla rozwoju państwa, z jednaką przedmiotowością, o ile ona dla człowieka dostępną być może.

Nie może być zadaniem sprawozdania niniejszego wchodzenie w szczegóły tak liczne i różnorodne, jakie się w książce p. Smoleńskiego znajdują i rzecz to krytyki specyalnej. Podawszy w krótkości ogół poglądów w tej książce zawartych, pozwolę sobie wyrazić żal, iż autor nie doprowadził obrazu historyografii naszej aż do czasu, w którym pracę swą ogłosił, lecz zostawił ją w tym stanie, w jakim ona r. 1886 po raz pierwszy była drukowana. Usprawiedliwia to zaniedbanie p. Smoleński uwagą, że dzieła po tej dacie ogłoszone nie posłużyły do nowych uogólnień; lecz tego usprawiedliwienia nie można przyjąć w całości, bo chociaż rozległych uogólnień nie było, na niektóre ważne kwestye poruszone w dziele p. Smoleńskiego rzucono dużo nowego światła w pracach Maleckiego, Piekosińskiego, Łaguny, Wojciechowskiego i Balzera.

Autor „Fircyka w zalotach," najlepszej naszej pod względem artystycznym komedyi w wieku XVIII, dość wcześnie stał się przedmiotem studyów i rozbiorów, później atoli, pod wpływem rrmatyzmu po części, a po części wskutek ukazania się Fredry, którego utwory wyparły repertuar dawniejszy, poszedł w zapomnienie i dopiero w czasach najnowszych został na nowo wzięty pod rozwagę. Starano się o zgromadzenie szczegółów biograficznych, o zebranie tytułów komedyj Zabłockiego, wreszcie o ich ocenę artystyczną. Co było dotychczas pod tym względem wiadomo, zebrał p. Maryan Gawalewicz, a dodadawszy kilka szczegółów nowych, przez siebie odszukanych, ogłosił w studyum roku 1891.

Kwestyę zależności Zabłockiego od wzorów francuskich traktowano dotąd ogólnikowo. Wiadomo, że korzystał z Moliera i jego naśladowców, że budowę sztuk swoich przejął od Francuzów, ale w dokładniejsze nie zapuszczano się szczegóły. Tę właśnie część pracy wziął na siebie wychowaniec seminaryum wrocławskiego prof. Nehringa, obecnie nauczyciel w niemieckiem gimnazyum brodzkiem, p. Bronisław Kąsinowski, a wyniki swych tymczasowych badań ogłosił w książce, której tytuł wypisałem powyżej.

We wstępie, napisanym jasno i zwięźle, przedstawił krótkie dzieje naszej sztuki dramatycznej przed Zabłockim. Nie spotykamy tu wiadomości nieznanych, bo nawet to, co p. Kąsinowski według wskazówek prof. Nehringa mówi o wzmiankowanych w poemacie Twardowskiego: „Władysław IV" przedstawieniach teatralnych we Włoszech dla królewicza naszego wyprawianych, uwydatnione zosta-

ło już przez Brodzińskiego („Pisma," t. 4, s. 195), którego prace dziwnym sposobem autor zupełnie pominął, choć w nich o literaturze dramatycznej znajdowało się sporo szczegółów zupełnie w swoim czasie nowych.

We właściwej oryginalnej części swej pracy zastanawia się p. K. nad stanem teatru w początkach panowania Stanisława Augusta, mówi o stosunku Zabłockiego do króla i księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, roztrząsa talent satyryczny autora „Fircyka" i dochodzi w tej mierze do przekonania, że Zabłocki w satyrze staje obok Krasickiego, jest wyższym od Naruszewicza. Na takie określenie talentu satyrycznego zgodzić się niepodobna. Zabłocki nie jest takim artystą słowa, wiersza i kompozycyi, jak Krasicki, a brak mu siły wyrażenia, znamionującej Naruszewicza. Satyry jego rzadko kiedy czynią zadość wymaganiom artystycznym, są rozwlekłe, trochę wodniste, zbyt często wyglądają na pamflety. Jako publicysta odegrał on temi satyrami ważną rolę w ówczesnym ruchu społecznym, ale jako *poeta* satyryczny nie stanął wysoko. Był innym od Krasickiego, to prawda, lecz w tej odrębności bynajmniej mu nie dorównał.

Co do twórczości dramatycznej Zabłockiego, zdania p. Kąsinowskiego są zupełnie trafne, a rozbiór „Baliku gospodarskiego" i „Zabobonnika" stanowi istotną jego zasługę. P. K. pierwszy wskazał stosunek „Baliku" do słynnej komedyi Beaumarchais'go: „Cyrulik sewilski" i p. K. pierwszy zwrócił uwagę na pokrewieństwo pomysłów i figur, zawartych w „Zabobonniku" z pomysłami Moliera w trzech sztukach: „L'Amour medecin," „Fourberies de Scapin" i „l'Etourdi." Okazuje się z tych zestawień, że Zabłocki nigdzie nie był naśladowcą niewolniczym, lecz wziąwszy nawet rys jakiś z obcego wzoru, przetwarzał go po swojemu.

P. Kąsinowski zamierza wszystkie sztuki Zabłockiego poddać takiemu rozbiorowi. Niewątpliwie będzie to pracą bardzo pożyteczną i pogłębi znajomość naszej dramatyki. Radziłbym tylko, żeby dbał o spójniejszą kompozycyę i nie robił zbyt częstych dygresyj, szkodzących przejrzystości wykładu. Zanadto szczegółowe streszczanie sztuk nie jest pożądane; w streszczeniu należałoby podnosić tylko szczegóły, które za punkt porównania między naszym komedyopisarzem a obcymi służyć mogą.

P. Chmielowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Emil Pohl: *Vasantasena,* sztuka w 5 aktach, osnuta na poemacie indyjskim króla Sudraki, w przekładzie Wł. Palińskiego.

Gdyby cień króla Sudraki przybył na benefisowe przedstawienie p. Marcello-Palińskiej i stanął za kulisami, załamałby prawdopodobnie ręce pytając: żali ta dziesiąta woda po moim kisielu ma prawo nakrywać się złotem denkiem wieszczego imienia Sudraki? Ale cień króla-poety nie stanął za kulisami i przedstawienie benefisowe odbyło się pod każdym względem bez jego współudziału. Liberalny monarcha uległ pewnie znowu przesądom kastowym. Nie chciał się spotkać z kastą niemieckich przerabiaczy swego poematu, którzy przez sito pięcioaktowego szablonu przesiali jego myśli królewskie i z buntu pasterza Arjaki zrobili operetkę. Nie chciał się spotkać z kastą polskich tłomaczów teatralnych, których odwaga równa się odwadze Leonidasów, gdy z maluchnym zastępem sił porywają się do walki nierównej, tylko niestety wyginąć nie mogą i na Termopilach scenicznych wciąż ich „głosek" rozbrzmiewa. Nie chciał się spotkać z kastą benefisantek, które dla hołdów tłumu zamieniają poemat w efektowną pantominę cyrkową. Nie chciał się wreszcie spotkać z kastą klaki, która wpuszczona bez biletów na galerye mimo protestów publiczności, co każdej chwili obowiązujemy się udowodnić, złożyła mową rozpasanej tłuszczy benefisowe hołdy artystce dramatycznej pierwszej sceny polskiej.

A właśnie mniej więcej przed tygodniem byliśmy w Rozmaitościach świadkami innego benefisu. Grano „Nauczycielkę" Koziebrodzkiego; w roli tytułowej występowała również pani Marcello. Wprawdzie nie rozlegały się po galeryach nieludzkie wrzaski, zwane hołdem, nikomu nie popuchły ręce od owacyj oklaskowych, ale za to kilka razy dreszcz przeszedł po widzach. Dreszcz przeszedł, bo owego wieczoru aktorka służyła literaturze, a nie literatura aktorce.

Aktorzy nie powinni lekceważyć literatury, bo inaczej literatura lekceważyć ich będzie i zemści się na nich. W „Nauczycielce" pani Marcello była nauczycielką; większej pochwały udzielić jej nie możemy; w „Vasantaśénie" nie była Vasantaseną, tylko aktorką o grze konwencyonalnej, aktorką mniemającą, że obnażone ramiona i krótka spódniczka stanowią poezyę zbuntowanej bajadery.

Cóż da się zresztą powiedzieć o przedstawieniu, którego wykonawcy nie umieli nawet wymówić imienia bohaterki bez przekręcenia lub zająknienia? Najczulszemu kochankowi może skręcić się język przy wymawianiu pięciozgłoskowego imienia lubej; powinien jednak pamiętać, że lubej może być przykro, jeżeli ją nazywają „Wantazeną," „Vasantauczą" lub „Vasan...vasan...vasan."

Nie będziemy zaznajamiali czytelników z treścią tej sztuki, gdyż zejdzie ona prawdopodobnie z repertuaru, ustępując miejsca operze w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Utwór Pohla jest zresztą bladym cieniem indyjskiego pierwowzoru, a widowisko w teatrze Wielkim słabym cieniem utworu Pohla.

Cień wieszczego króla Sudraki nie unosił się przeto nad benefisowem przedstawieniem p. Marcello-Palińskiej, ale za to cieni wogóle było bardzo wiele.

Andrzej Niemojewski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Sezon koncertów pod dachem skończony; zamknęło go Towarzystwo muzyczne wieczorem środowym, na którym wykonanie programu powierzone zostało paniom: Janczewskiej-Rybałtowskie (fortepian), Konarskiej (śpiew) i Matyasiak (skrzypce). Pani Rybałtowskiej już od lat kilku nie słyszeliśmy na estradzie, a jeśli przez ten czas nie zrobiła wybitnych postępów, gra jej też nic nie straciła na okrągłości tonu, sile, technice i szerokiem frazowaniu. Zalety to dużeniewątpliwie, zdaniem naszem wszakże odpowiedniejsze do wykonywania dzieł klasycznych, niż utworów romantyków muzyki. Schumann („Faschingsschwank") i Chopin (etiudy i preludya) subtelniejszego wymagają cieniowania, mniej jędrności, a natomiast więcej poezyi i uczucia w prowadzeniu melodyi. Pani Konarska, niegdyś primadonna naszej sceny, posiada z natury niezwykle piękny głos, doskonale, dzięki sumiennym studyom, postawiony i wyrównany. Intonacya nie zawiedzie jej nigdy, głos nie załamie się, płynąc zawsze swobodną falą, nie zatracą się w nim odcienie uczuć przez kompozytora podyktowanych. P. Konarska jest jednak nawskróś śpiewaczką sceniczną; stąd też skłonną do przedramatyzowania pieśni, gdy występuje na estradzie. Taki los spotkał nietracącą nic z uroku swego „Kalinę" Komorowskiego i „Sen" Munchheimera; natomiast „Ten, kto wie" Czajkowskiego wykonała artystka z porywającem uczuciem. Panna Matyasiakówna dotąd należy jeszcze do rzędu „cudownych dzieci." Dwunastoletnia ta skrzypaczka ma wszakże już dzisiaj ton wcale duży, pociągnięcie smyczka pewne, szlachetność w wykonaniu, a nadto powagę i spokój; co wszystko stanowi bardzo dobrze na przyszłość wróżące zadatki.

Na poprzednich „środach" Towarzystwa słyszeliśmy p. Lewingera, skrzypka, olśniewającego techniką, która, choć artysta bardzo jeszcze młody, nie przedstawia, zdaje się, dlań już żadnych trudności; natomiast uczucie zginęło mu gdzieś między flażoletami, ton zaś ma niewielki, a przytem krzykliwy. Dalej poznaliśmy młodszego jeszcze fortepianistę, p. Edmunda Hertza, warszawianina, o którym dziś powiedzieć tylko można, że ma dobrze wyrobione palce i dużą siłę. Czuć w nim jeszcze ucznia, trzymającego się bałwochwalczo wskazówek nauczyciela, co, jakkolwiek przyczynia się do prawidłowego wykonania, niemniej zabija indywidualność; nie wątpimy wszakże, iż zdolny pianista niezadługo z pęt tych się wyzwoli i grać będzie nie jak mu polecono, ale jak sam czuje. Przedstawiła nam się też po raz pierwszy zażywająca szerokiej sławy za granicą, panna Gabryela Vetrovec, skrzypaczka, mająca w grze swojej więcej cech talentu męzkiego, niż niewieściego: ton pełny, szeroki, energiczne pociągnięcie smyczka, duży spokój, inteligencyę niepospolitą — wdzięku, pieszczotliwości ani śladu, czego wszakże nie myślimy poczytywać artystce za wadę.

Wokalną część programu tej „środy" wykonały chóry Towarzystwa i p. Aniela Remerówna, śpiewaczka obdarzona bardzo dźwięcznym i dość rozległym sopranem, pozbawiona jednak poczucia muzykalnego, co sprawia, że paczy najzupełniej myśli autora i, pomimo pięknego materyału wokalnego, zająć, wzruszyć słuchaczów nie potrafi. Chóry wespół z orkiestrą wykonały poraz pierwszy „Cygańską wiośniankę" p. M. M. Biernackiego, w której partyę solową odśpiewała p. Remerówna. Kompozycye p. Biernackiego nazwalibyśmy nadewszystko „mądremi" — pełne wymyślnych efektów kontrapunktowych, kombinacyj harmonicznych, pozbawione są tej prostoty, która jest cechą iskry bożej. Nieumiejętnie dobiera też pan B. tekst do swych kompozycyj — tak „uczenie" nie tęskni parobczak za swą Maryną („Tęskny"), ani błaga dziewucha — „co z za pieca nie wylazła przez rok cały," matki, by ją puściła do cyganów („Cygańska wiośnianka"). W zbiorowych utworach wszakże tego ostatniego utworu o wiele mniej razi „mądrość" kompozytorska p. Biernackiego, niż w pieśniach solowych.

Dorocznym zwyczajem wystąpił dyrektor Noskowski z koncertem benefisowym w d. 27 z. m. Nazwiska wykonawców — panna Marya Kleczyńska (śpiew), Barcewicz, Myszuga i p. Edmund Hertz — oraz zajmujący program sprawiły, że sale Redutowe były przepełnione. Barcewicz z Myszugą zebrali oczywiście lwią część oklasków, nie zgasła wszakże przy nich panna Kleczyńska, śpiewaczka niezwykle utalentowana. Znać w niej przedewszystkiem artystkę z urodzenia—muzykalność wielka, temperament, uczucie,

trafne pochwyconie stylu, świetna wymowa i dykcya przy głosie, niemającym może srebrzystego brzmienia (zwłaszcza w tonach górnych, przypominających dźwięk kruchego szkła), lecz wybornie postawionym i wyszkolonym — oto cechy zalecające młodą śpiewaczkę.

W operze mamy zwykłą od lat kilku wiosenną gościnę panny Pacini i p. Battistiniego, a wraz z powrotem tej pary artystycznej, powrócił i ich stały repertuar. Słuchamy zatem znów „Don-Juana,“ „Cyrulika Sewilskiego,“ „Łucyi z Lamermooru,“ „Rigoletta,“ „Demona“ — z pp. Strassernówną i Korolewiczówną naprzemiany w partyi Tamary — „Hamleta,“ przypomnieliśmy sobie „Dinorę,“ w której p. Pacini ma znakomite pole do popisu dla swej nieposzlakowanej koloratury, zwłaszcza w słynnym walcu z cieniem, p. Battistini zaś, w partyi Hoela, koziarza, możność przejmowania do głębi swojem nieporównanem istotnie *bel canto.*

Br. N.

POEZYE

DO POETY

Panu W. Sterlingowi
w odpowiedzi.

Samotny jesteś w braci twych ogóle —
I nieraz głucha leśna okolica
Od obcych, zimnych ludzkich dusz
Bywa ci czulszą i pokrewniejszą.

A. Lange.

Jeżeli w zimnym, obojętnym tłumie,
Któremu rzucasz złote natchnień kłosy,
Choć jedno serce pieśń twoją rozumie,
Dźwięków jej pragnie, jak ożywczej rosy,
Co rankiem perli przepalone niwy —
Jeżeli jedno serce — toś szczęśliwy!

Ach, bratniej duszy pokrewne królestwo,
To skarb wśród życia bezmiernej pustyni.
Perłom twych natchnień nie grozi nicestwo,
Jest ktoś, kto w sercu ołtarz im uczyni
I brylantowych świateł moc zapali,
Nie dając zginąć w zapomnienia fali.

Jest ktoś, kto harfie twojej sercem wtórzy
I razem z tobą śpiewa pieśń natchnioną,
Cichą, jak marzeń lot, czy pełną burzy —
Kto bólem twoim własne krwawi łono,
Kto, jak mistrz dłuta, w żywe kształty wciela
Młodzieńczych natchnień twych i snów Aryela.

Lecz jeśli głuchych słuchaczów masz wkoło,
Co dźwięk twej liry przyjmą gadzin sykiem,
Niech jeszcze w chmurze nie tonie twe czoło,
Pierś nie rozdziera się rozpaczy krzykiem —
Niech pieśń twa, jako ta grecka kolumna,
Do nieba sięga i niech będzie dumna!

Niech będzie dumna, i czysta, i święta,
Jak ongi Westy kapłanki bywały.
W świątyni ducha twojego zamknięta,
Niechaj ma odblask ów srebrzysto-biały,
Co nimbu czarem zdobi mistrzów płótna —
Niech będzie dumna, poważna — nie smutna.

Tym, którzy tylko wzgardę mają dla niej,
Niech po królewsku małość ich wybaczy,
Niech siłą natchnień, jak wszechwładna pani,
Nowych dla siebie zbudzi huf słuchaczy,
Niechaj ich stworzy! — lub zamilknie zgoła,
Jeżeli zbudzić, ni stworzyć nie zdoła...

Władysław Bukowiński (Selim).

W DALI.

Kielce. Gospodarze miasta i inni obywatele zajęci są obecnie sprawą urządzenia w Kielcach wystawy handlowo-rolniczo-przemysłowej. Obywatele miasta postanowili wydać z kasy miejskiej na ten cel 4,000 rs., z zastrzeżeniem, że całkowity dochód z przedsięwzięcia obrócony będzie na pokrycie sumy powyższej. W razie przekroczenia jej rozmiarów, nadwyżkę pokryją sami obywatele. Jeżeli zaś przy pomyślnym stanie rzeczy wystawa będzie zamknięta z dochodem czystym, zwyżka ta pozostanie jako zasiłek na urządzenie wystawy w roku przyszłym.

Łódź. Powstała świeżo, po długich zabiegach, nowa bardzo ważna instytucya: Stowarzyszenie wzajemnej pomocy nauczycieli i nauczycielek chrześcian. Dn. 5 maja odbyło się już pierwsze posiedzenie z udziałem 70 osób, na którem przeprowadzono wybory. Na prezesa powołano prof. Służewskiego, na członków zarządu panie: Schmidt i Jezierską, pp: Rybaka, Goltzena, Nowackiego, Kędzierskiego, Cyklera, Thomasa, Kościanowskiego, Kameńca, Wocalewskiego, i Musiatowicza, z których pp. Thomas i Rybak zrzekli się wyboru. Nowa instytucya ma na celu pomoc dla nauczycieli (płci obojej) chrześcian, pracujących we wszystkich bez wyjątku zakładach naukowych m. Łodzi. Pomoc ta będzie materyalna, jednorazowa lub miesięczna. Nadto do głównych zadań stowarzyszenia należy wyszukiwanie posad i zarobków członkom, dostarczanie bezpłatnej pomocy lekarskiej i pomieszczenie w szkołach dzieci członków niezamożnych, opieka nad niemi. Stowarzyszenie składa się z członków rzeczywistych, protektorów i honorowych. Decydują wszakże w sprawach zapomóg jedynie członkowie rzeczywiści; mogą być nimi nie tylko czynni na posadach, lecz i ci, którzy ich nie mają. Składka członków zwyczajnych i protektorów wynosi rocznie rs. 10. Honorowi płacą jednorazowo najmniej rs. 100.

Kijów Dyrektor przyszłej politechniki, p. Kirpiczow, bawi już w Kijowie i zajęty jest werbowaniem profesorów. Dotąd zapewnione jest przejście dwu profesorów uniwersytetu kijowskiego, panów Reformatskiego — chemika i de Metza — fizyka. Na Petersburg, gdy chodzi o profesorów, p. Kirpiczow nie liczy. Do wykładów teoretycznych na kursach pierwszych (cztery wydziały: inżenierski, mechaniczno-budowniczy, chemiczny i agronomiczny) dostarczy profesorów uniwersytet kijowski, co zaś do przedmiotów specyalnych, wykładanych na kursach wyższych, wypadnie szukać ich po za Kijowem. Chociaż w mieście tem jest dużo zdolnych inżenierów i techników, nie są to jednak ludzie przygotowani do wykładu nauk w wyższym zakładzie specyalnym. Wykłady mają być rozpoczęte d. 13-go września r. b. Gmach politechniki stanie na t. zw. polu wojskowem, gdzie udzielono na ten cel 50 dziesięcin gruntu. Do miejsca budowy będzie przeprowadzona kolejka, która zniży koszt dowozu materyałów o 30,000 rubli. Fundamenty będą granitowe a materyału na nie udziela bezpłatnie właściciel pokładów granitowych, p. Szczeniowski. Granit dowożony będzie ze stacyi Hniwań kolei Południowo-Zachodnich. Budowa gmachu będzie oddana przedsiębiorcy, z zastrzeżeniem, że przed zimą mury muszą być wyprowadzone pod dach. Budowniczy Benoit nadesłał siedem planów, z których najodpowiedniejszy wybrany będzie przez komisyę. Budowa całkowita gmachu politechniki ma być ukończona na jesieni roku 1899. Koszt ogólny budowy oraz urządzenia i zaopatrzenia biblioteki, laboratoryów, gabinetów, fermy doświadczalnej i t. d. obliczono w wysokości 1,200,000 rubli. Komitet rozporządza obecnie sumą 900,000 rubli; zapewnione są dalsze składki. Już z dzisiaj różnych miejscowości państwa nadchodzą liczne zapytania co do warunków wstępu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dniewnik* donosi, iż zarząd generał-gubernatora warszawskiego opracowywa teraz kilka ważnych projektów, mających związek ze sprawami administracyjnemi, ekonomicznemi i innemi kraju tutejszego. Niektóre prace są już całkiem ukończone i bliskie urzeczywistnienia. Pomiędzy innemi projekt zniesienia obowiązujących obecnie w Królestwie Polskiem przepisów paszportowych i zastosowania u nas ustawy paszportowej z r. 1894, obowiązującej w guberniach wewnętrznych, jest już gotów i będzie wkrótce złożony ministeryum spraw wewnętrznych. Nowa ustawa będzie wprowadzona z małemi tylko zmianami, wywołanemi istnieniem ksiąg ludności stałej i innemi właściwościami. Komisya węglowa ukończyła już swoje czynności; obmyśliła szereg środków ku zapobieżeniu na przyszłość przesileniom. W komisyach specyalnych, pod przewodnictwem pomocnika generał-gubernatora, roztrząsane są sprawy: organizacyi pomocy lekarskiej dla ludności wiejskiej, opieki nad obłąkanymi, przekształcenia straży ziemskiej i przejrzenia prawodawstwa obowiązującego o tamach na rzekach okręgu nadwiślańskiego. Nadto w niedalekiej przyszłości zamierzono przystąpić do kodyfikacyi praw tutejszych.

Szkoły. Ostatecznie politechnikę tymczasowo postanowiono umieścić w gmachach p. Blocha przy ul. Marszałkowskiej, nr. 81.

— Sprawa założenia w Warszawie średniej szkoły chemiczno-technicznej będzie wkrótce rozstrzygnięta twierdząco. Ministeryum spraw wewnętrznych upoważniło magistrat miejscowy do zaczerpnięcia na ten cel z funduszów zapasowych 100,000 rubli. Przyczem ministeryum skarbu udzieli jednorazowo 75,000 rs. i wypłacać będzie corocznie 28,800 rs. na koszty utrzymania szkoły.

— Podawane obecnie prośby o przyjęcie do politechniki warszawskiej są w danej chwili przedwczesne, gdyż niema jeszcze kancelaryi odpowiedniej. O terminie właściwym publiczność będzie zawiadomiona.

— Od nowego roku szkolnego szkoła mechaniczno-techniczna, prowadzona przez p. Mittego, otwiera czwarty i ostatni kurs, na którym w programie wykładowym, oprócz powiększonego wykładu technologii mechanicznej, przybywają nowe przedmioty: fizyka z elektrotechniką i technologia chemiczna. Nadto, oprócz zajęć praktycznych w pracowniach i warsztatach, na rysunki techniczne wyznaczono po 12 godzin tygodniowo. Tym sposobem w roku przyszłym ze szkoły tej wyjdzie pierwszy zastęp kandydatów, mogących zająć posady pomocników: dyrektorów, instruktorów, inżenierów-technologów itp. lub kierowników w osobnych oddziałach różnych gałęzi przemysłu fabrycznego.

— Zarząd Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, chcąc uprzystępnić osobom nieposiadającym czasu obeznanie się z różnemi czynnościami w pasiece i ogrodzie, postanowił urządzić w czerwcu od d. 13 do 24 szereg codziennych „pokazów“ z odpowiedniemi objaśnieniami.

Zapisy. Zatwierdzono zapis Edmunda Czabana na cele edukacyjne, a mianowicie: 1) rs. 5,000 na rzecz szkoły rzemiosł im. Konarskiego; 2) rs. 30,000 na utworzenie 10 stypendyów dla niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego wyznania rzymsko-katolickiego, stałych mieszkańców Królestwa Polskiego lub gubernij zachodnich, z zastrzeżeniem, że przy braku kandydatów z pomiędzy tej kategoryi studentów lub w razie zamknięcia uniwersytetu warszawskiego, ze stypendyów tych mogą korzystać pilni i wzorowego sprawowania się uczniowie warszawskich gimnazyów klasycznych lub szkół realnych, urodzeni w Królestwie Polskiem lub guberniach zachodnich, wyznania rzymsko-katolickiego i 3) rs. 30,000 na utworzenie 10 stypendyów przy warszawskich gimnazyach klasycznych lub szkołach realnych dla niezamożnych, pilnych i wzorowo prowadzących się uczniów wyznania rzymsko-katolickiego, urodzonych w Królestwie Polskiem lub guberniach zachodnich.

— Zmarły przed kilku dniami w Szwajcaryi adwokat z Warszawy, Kazimierz Szpecht, zapisał niemal cały swój majątek na rzecz kasy im. Mianowskiego. Przed ściśłem oszacowaniem masy spadkowej nie można jeszcze określić dokładnie wysokości sumy. W przybliżeniu wyniesie ona 50,000 rubli.

Prasa. Wychodzący w Charkowie *Jużnyj Kraj* uwolniono od cenzury prewencyjnej. Uwolnienie od niej innych pism, jak zapewniają *Birż. Wied.*, zależy od ich zabiegów i własnego życzenia.

— Pozwolono znowu na sprzedaż numerów pojedynczych gazety *Głasnost'*.

Sądy. Senat rządzący odrzucił skargę wsi Branków i Wola Braniecka w pow. Grójeckim na postanowienie komisyi włościańskiej w sprawie służebności pastwiskowych.

Zmarł! Ryszard Ruszkowski, we Lwowie; komedyopisarz.

OFIARY.

Dla Studentów: Z. rs. 1. — W. B. rs. 3.

Dla nieuleczalnych chorych: od Zdziechowskiego rs. 2.

Wyszła z druku i jest do nabycia w redakcyi *Prawdy* książka

ZENONA PIETKIEWICZA

p. t.:

SZKICE SPOŁECZNE.

(I. Nędza i miłosierdzie. II. Hygiena i życie. III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

Str. 2u3.

Cena rs. 1 kop. 20, z przesyłką rekomendowaną rs. 1 kop. 40.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Мая 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.